ŚWIATOWID

10 MARCA 1934 I
NUMER ZAWIER
24 STRON DRUK
W CZECHOSŁO
WACJI Kc. 2·20.

GROSZY
60





Ma się ku wiośnie!

Bocian jest niezawodnym zwiastunem wiosny. Kiedy on się ukaże, można śmiało iść już do krawcowej i zamawiać sobie nową suknię, o ile oczywiście jest się kobietą i zarabia odpowiednio. Dzisiaj bowiem nie chcą dawać już na raty, a mężowie są przeważnie bezrobotni.

Otóż bociany już przyleciały, widziano je w okolicach Warszawy i koło Łowicza. Są to dopiero pierwsze forpoczty, gdyż armja zjawi się dopiero przy końcu marca i zakwateruje się na Polesiu, gdzie znajduje się jedyny w Europie i jedyny w swoim rodzaju rezerwat ptactwa błotnego.

Bardzo dobrze się stało, że zaczęto obecnie bociany inwentaryzować. Na zachodzie Polski i w województwach centralnych coraz bowiem mniej tych pożytecznych ptaków, otoczonych prawie religijną czcią przez lud wiejski. Lud wierzy, że gniazdo bociana chroni od ognia. Nikt też na wsi bocianom krzywdy nie robi. Wypędza je jednak z dawnych siedzib... kultura. Każdorazowe założenie drenów w gruncie, to zmniejszenie zasiągu bociana w Polsce. Natura bowiem każe mu żywić się żabami i płazami, które żyją w wodzie, w bajorkach, mokradłach i mokrych łąkach. Osuszenie bagnistka, zamienienie go na rolę uprawną, to gwóźdź do trumny bocianiej.

Ale nie jest jeszcze tak źle. Bocianów mamy dosyć (zajmujemy pod tym względem pierwsze miejsce w Europie) a wesoły ich klekot odbija się radosnem echem w naszych znękanych zimą sercach.

Witajcie więc bociany i niech wam się tu na polskiej ziemi jaknajlepiej powodzi.

J. L.

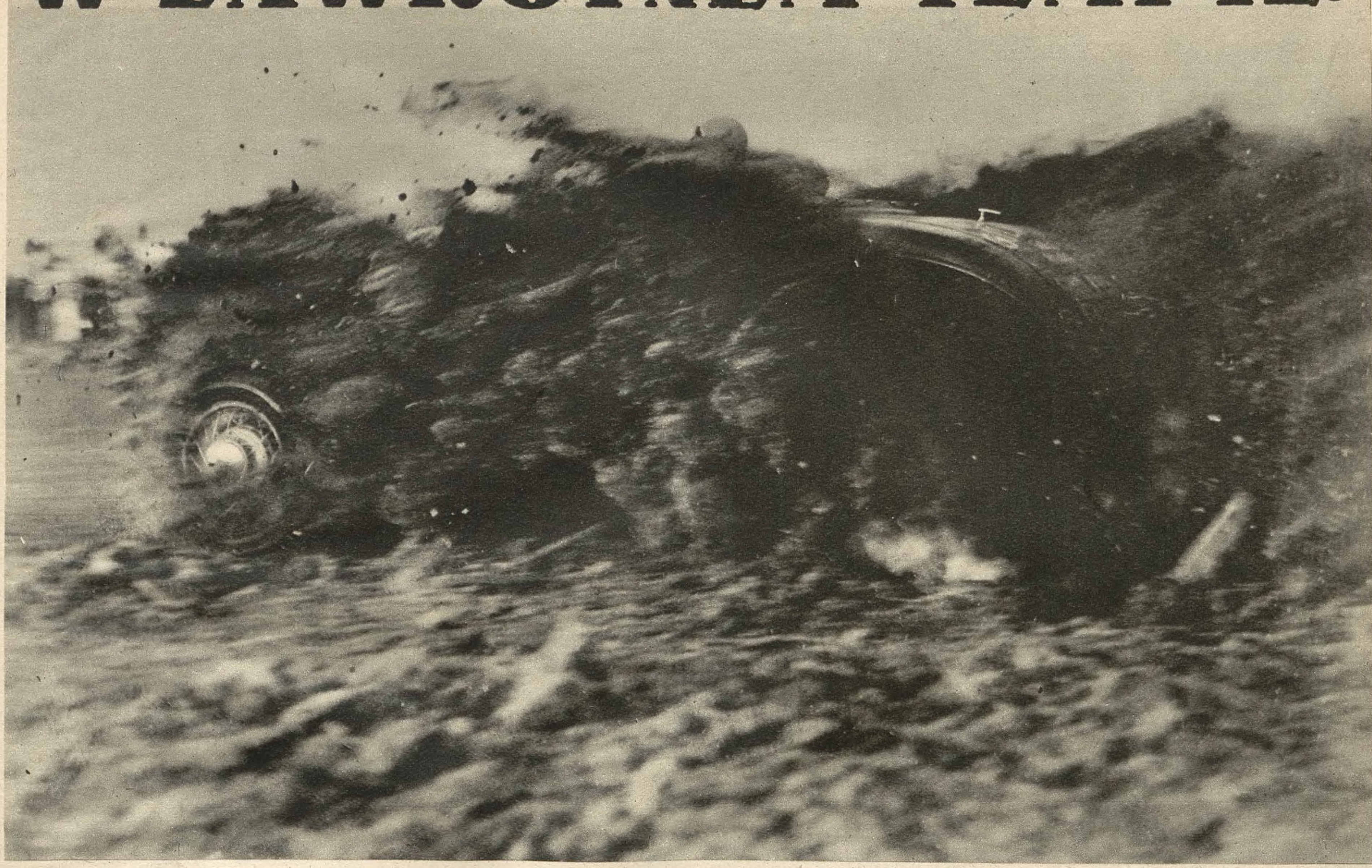
FAŁSZERZE POD KLUCZEM.



Stany Zjednoczone Ameryki Północnej są krajem największej na świecie korupcji. Poziom moralności spadł tam tak nisko, że nie pomoże żelazna ręka Roosevelta, aby zło opanować i wytępić z korzeniami.

Walnie do rozwoju wszelakiego łotrostwa przyczyniła się przedewszystkiem prohibicja, która zgangrenowała całe społeczeństwo. Nieżyciowe prawo, zakazujące picia trunków, umożliwiło egzystencję potężnym bandom przemytniczym, które dsrwiły sobie z policji i straży celnych. Zniesienie prohibicji, której najgorętszymi zwolennikami byli właśnie owi gangsterzy, skazało te bandy na bezrobocie. Wzięły się więc do innych zajęć, oczywiście także kolidujących z kodeksem karnym. Wiele z nich wyspecjalizowało się w oszustwach asekuracyjnych, tworząc centralę, która w krótkim czasie wydała około 100.000 fałszywych polis i uczyła swoich klijentów niezawodnych sposobów podjęcia premij asekuracyjnych zapomocą postawionych osób, fałszywych protokołów, świadków, świadectw zdrowia itd. Kiedy jednakże przebrała się miarka cierpliwości, policja zarządziła generalną obławę i przywódców tej bandy asekuracyjnej aresztowała. Na zdjęciu widzimy ich przed biurem policji. Zakrywają sobie starannie twarze, aby kiedyś w przyszłości nie poznano ich, gdy będą żerować znowu na naiwności ludzkiej.

W ZAWROTNEM TEMPIE.



W Los Angeles odbyły się wyścigi automobilowe o złoty puhar, na przestrzeni 375 km. Pierwsze miejsce zdobył Al. Gordon, pomimo bardzo niekorzystnych warunków terenowych. Znakomity kierowca musiał jechać prawdziwie po omacku wśród tumanów kurzu (na zdjęciu). Licznie zgromadzona wzdłuż drogi publiczność podziwiała brawurę Gordona, który brał krzywizny w tempie około 200 km. na godzinę i niezawodną ręką wyrównywał wóz, bez wypadku.

NARESZCIE WOLNI.

Dnia 27 lutego br. wylądował na lotnisku w Moskwie samolot, wiozący bohaterów procesu o podpalenie Reichstagu: Dymitrowa, Popowa i Tanewa. Zostali oni wydani Sowietom na skutek zabiegów dyplomatycznych Moskwy, która więźniom udzieliła swojego obywatelstwa. Przyjęcie Bulgarów było bardzo uroczyste. Najwyżsi dygnitarze sowieccy ostentacyjnie witali się z nimi, jakby chcąc wynagrodzić im przebyte cierpienia. Jak wiadomo, przewód sądowy udowodnił, że Bułgarzy nie mieli nic wspólnego z zbrodnią podpalenia Reichstagu. Dlatego sąd uniewinnił ich, mimo to jednak zatrzymano ich w więzieniu, jako niebezpiecznych agitatorów. Początkowo miano ich wysiedlić do Bulgarji, jako tam przynależnych, ale Sofja odmówiła ich przyjęcia. Na zdjęciu od lewej Popow, Dymitrow i Tanew na przyjęciu w Moskwie, urządzonem dla prasy zagranicznej.





Ogólny widok Bombay'u.

Z PODRÓŻY DO INDYJ.

BOMBAY.

Pięć dni żeglugi po Oceanie Indyjskim między Aden a Bombay, to najpiękniejsza część podróży morskiej w drodze na Wschód. Po rozpalonem powietrzu w rozżarzonym kotle, jakim jest Czerwone Morze, chłodny powiew Oceanu jest prawdziwą rozkoszą. Noce są nieprawdopodobnie gwiaździste, niebo czarne i przepaściste, z bladym sierpem księżyca, a fale jakby z płynnego srebra, świetliste wskutek fosforyzacji morza. Nowe konstelacje gwiazd z Krzyżem Południa na czele, uwieszone nad naszemi głowami, przypominają nam, że znajdujemy się blisko „drugiej półkuli“ świata.

Przybycie do portu Bombay'u, to jak zbudzenie się z czarownego snu.

Istnieją nazwy miast... mówię o tych za morzami, za lądami, które samym dźwiękiem swej nazwy obudzają ciekawość i pragnienie zwiedzenia. Imieniem swem działają na wyobraźnię, obiecując wiele. Do rzędu ich należy bezsprzecznie Bombay. Marząc o zwiedzeniu Indyj (a któż o tem nie marzy?), wyobraża sobie człowiek, że Bombay to jakby cudowna brama „tajemniczych“ Indyj, o których tyle słyszało się od dzieciństwa prawie. Często jednak ta fonetyczna malowniczość miast kryje rozczarowanie, tem przykrzejsze, że nieoczekiwane. Nie należy jednak uprzedzać faktów. Ze statku Bombay przedstawia się dość ciekawie. Ze srebrzysto-różowej mgły wyzierają okazałe kopuły świątyń, minarety meczetów i wspaniałe jakieś budowle, bielsze od mlecznego tła atmosfery. Statek przybija tuż do brzegu. Na molo ruch i gwar. Setki podróżnych, stosy bagażu. Tłum tubylczy więcej jedności, aniżeli w innych portach dotąd. Nie widać prawie innej rasy, jak Hindusów. Wielka jest jednak rozmaitość strojów poszczególnych plemion, zwłaszcza dużo odmian turbanów. Przeróżnych są kształtów. Olbrzymie, białe jakby ze śniegu uwite i zupełnie małe, na czubku głowy umocowane, o złotem dnie. Obok białych, są żółte turbany, szkarłatno-czerwone, różowe, błękitne, stosownie do zwyczajów czy mody danej prowincji lub kasty. Niewiele muzułmańskich fezów.

Sporo też widzi się kobiet w przeciwieństwie do innych portów. Niezmiernie malownicze mają stroje. Rodzaj długiego, szerokiego szala, udrapowanego dokoła bioder i całej postaci i spływającego w prześlicznych, miękkich fałdach z głowy i ramion. Szczyt praktyczności. Cała suknia hinduskiej damy wraz z nakryciem głowy, to tylko jeden kawałek materjału. Mimo pozornej prostoty, nielatwem jest jednak „nosić“ dobrze ten strój. Sztuka drapowania materjału wymaga umiejętności i wprawy.

Mnóstwo branzolet na rękach i nogach, naszyjników i olbrzymich kolczyków brzęczy i błyszczy za każdem poruszeniem. Silna woń „frangipani“ [1]) białego kwiatu świątynnego, wpinanego we włosy, przepełnia powietrze, harmonizując z niezwykłą nieraz urodą tych kobiet. Szczęściem nie są one zawoalowane jak ich muzułmańskie siostry i możemy podziwiać regularne rysy twarzy, cerę złotawo-śniadą i olbrzymie czarne oczy. Ruchy mają spokojne i niezmiernie wytworne. Wyglądają jak księżniczki z dworu jakiego „Radży“, choć rzecz jasna, najzwyklejsze to śmiertelniczki.

Dosyć mam czasu do przyjrzenia się otoczeniu, bo formalności paszportowe, cła transportu bagażu, którego część trzeba wysłać wprost do Kalkuty, trwają przydługo. Trzy godziny siedzę cierpliwie w ogromnej hali poczekalni, opatrzonej tuzinami wentylatorów. Wreszcie dostajemy się do hotelu. Jest ogromny, posiada wszelki europejski komfort i nazywa się „Taj Mahal“ [2]), imieniem słynnego zabytku architektury w mieście Agra, który zwiedzimy później. Jest 5-ta popołudniu. Trzeba zabrać się do przygotowań do kilkutygodniowej podróży w Indjach. Najważniejszą i najpilniejszą rzeczą jest zaopatrzenie się... w służącego, który jest zarazem tłumaczem i cicerone, a też — i w pościel. W Indjach podróżuje się z własną pościelą, gdyż kolej nie dostarcza ani pościeli, ani usługi. Oprócz tego trzeba mieć: kubeł na lód, pakę z flaszkami wody mineralnej, gdyż zwykła woda do picia jest niebezpieczna, pudełko z przyborami do czyszczenia bucików, koszyk z owocami, szklanki, ręczniki, serwetki. Na pierwszym zaraz kroku naszego zjawienia się w hotelu, zaczynają zgłaszać się kandydaci na „faktotum“. Jeden czarniejszy od drugiego i niezbyt schludnie wyglądający. Dwu Hindusów i jeden Muzułmanin o przebiegłej twarzy i chytrych oczach. Przestrzeżono nas, aby nie przyjmować żadnego ze zgłaszających się bez zasięgnięcia informacji w jednem z biur podróżniczych jak Cook, lub amerykański „Express“. Zostawiamy więc decyzję do jutra.

Cierpliwość wynagrodzona, gdyż nazajutrz amerykańska agencja przysyła nam eleganckio ubranego młodego człowieka w białych szarawarach, długim granatowym surducie i jedwabnym białym turbanie z czubem ze złotej lamy. Jest znacznie mniej czarny, aniżeli wczorajsi obdartusy, ale rzecz jasna, ma większe wymagania. Świadectwa ma świetne, więc angażujemy go z miejsca. Mahomet Gulam zajmie się wszystkimi potrzebnymi sprawami, a my idziemy zwiedzić miasto.

Pierwszem wrażeniem, jakie robi Bombay, jest rozczarowanie. Spodziewa się człowiek znaleźć w Bombayu coś bardzo odmiennego, charakterystycznego, coś, coby usprawiedliwiało nazwę „Bramy Indyj“. Wzamian widzimy miasto o wybitnie europejsko-kolonjalnym typie. Szeroka esplanada nad morzem, przy której nasz hotel położony, chlubi się podjazdem „łuku triumfalnego“ w hindusko-muzułmańskim stylu, zwanym: Brama Indyj. Jest to miejsce lądowania wicekróla Indyj, gdy przybywa do Bombaju. Ulice są szerokie, równe, z mnóstwem okazałych budynków. Banki, szkoły, uniwersytet, szpital, wszystko w jakimś dziwacznym gotycko-hinduskim stylu, niesmacznym i pełnym przesady. Mijamy wielki plac z konnym pomnikiem króla angielskiego Edwarda VII, nudząc się w pośrodku skweru o szarej zieleni. Jedyna cecha Wschodu: Bombay nie grzeszy czystością. Kurz niemiłosierny. Pustka i apatja na ulicach, Europejczyków nie widać prawie wcale. Dzień powszedni — pracują w biurach. Panie europejskie, zapewne przeważnie Angielki, lubują się w okropnych pasiastych jedwabiach i mimo smukłej linji anglo-saksońskich figur, sylwetka ich traci niezmiernie przez porównanie z klasyczną linją strojów kobiet hinduskich.

Jedziemy do dzielnicy tubylców. Ulice tu wąskie. Sklepy o kolorowych szyldach, przepełnione przeważnie tandetą europejską, mizernie reprezentują handel kokainy. Zabawna mieszanina Azji i Europy. Oto obok wspaniałego Rolls Royce'a, z brunatnym miljonerem (zapewne), w fantastycznym turbanie, rozpartym na poduszkach, prymitywny wóz, zaprzężony w parę bawołów, o rogach pomalowanych jeden na czerwono, drugi na szafirowo, z woźnicą zupełnie nagim, z wąską przepaską na biodrach, czarnym jak smoła. Bawołom i woźnicy nie śpieszno usuwać się z drogi autom lub tramwajom, to też co chwila powstaje piekielny hałas klaksonów samochodowych, tramwajowych dzwonków, złorzeczeń, co ani na chwilę nie wyprowadzą z równowagi bawolego stangreta. Gdy ruch zatamowany na chwilę, tłum przekupniów oblega nasze auto, ofiarowując natrętnie najprzeróżniejsze towary. Od sznurowadeł do bucików do kart z widokami.



Na targu w Bombay'u.

Znacznie więcej malowniczą i ożywioną od europejskiej jest dzielnica tubylców. Oto jakiś posłaniec pędzi truchtem środkiem ulicy z olbrzymim koszem na głowie, naładowanym porcelaną i szkłem. Tylko patrzeć, jak z tego wszystkiego zostaną skorupy. Niema obawy! Równowaga kosza na głowie, niepodtrzymywanego nawet rękami i gibkość chudego bronzowego ciała jest zadziwiająca. Zapach cebuli, korzeni i kadzideł miesza się z wonią ciastek smażonych na oliwie o tak smakowitym wyglądzie, że z chęcią spróbowałabym czy dobre? Kto wie jednak, ile w nich procentu brudu dawno niemytych rąk? Opanowuję łakomstwo.

Wydostajemy się z wąskich ulic, kierując się w stronę Malabar Hill [3]), dzielnicy will i pałaców tubylczych miljonerów i książąt: Parsów.

Szczep „Parsi“, jedyni czciciele Zoroastra w Indjach, to plutokracja Indyj, przeważnie bankierzy. Odznaczają się białą prawie skórą i klasyczną pięknością rysów. Prześliczne są kobiety z rasy Parsów. Pałace Parsów na wzgórzu Malabarskim pyszniąą się wspaniałemi schodami i tarasami z białego kararyjskiego marmuru i ogrodami w stylu arabsko... wersalskim!! Nie z pałaców jednak jest słynne wzgórze Malabaru, ale z „Wież Milczenia“. Jest to cmentarz Parsów. Nie oddają oni zwłok umarłych ogniowi ani nie powierzają ich matce-ziemi. Są one rozszarpywane przez kruki na tarasach Wież milczenia, których jest pięć. Dla książąt, kapłanów, dla zwykłych śmiertelników, dla kobiet i dzieci. Podobno trupy znikają w przeciągu godziny, pożarte przez łakome ptaki i tylko kości bieleją na szczycie wież, dopóki dostatecznie wysuszone nie zsuną się po lekkiej pochyłości, na której zwłoki bywają układane, do rodzaju obszernego marmurowego lejka, skąd są składane do urny, którą kapłani tej dziwnej świątyni oddają rodzinie.

Opodal Wież milczenia z tarasu niewielkiego ogrodu, przepiękny widok roztacza się na zatokę i miasto. Bombay pięknieje, widziane z odległości. Tysiące kruków krąży nad naszemi głowami z jękliwem krakaniem. Przyznać muszę, że niemiło jest myśleć o ich ludożerczej misji. Towarzyszyły nam te ptaszyska aż do miasta prawie, wyrażając zapewne swym przeraźliwym głosem swe rozczarowanie, że nasze „taxi“ to nie pogrzebowy orszak z ucztą dla nich.

Popołudniu robimy wycieczkę łodzią motorową do grot „Elephanta“. Świątynia Siwy, wykuta w skale około VIII wieku, posiada doskonale zachowane rzeźby wieloramiennych bóstw hinduskich, nadnaturalnej wielkości. Przepiękny i dobrze zachowany jest olbrzymi trójgłowy biust Brahmy, Siwy i Wishnu. Niektóre rzeźby zostały uszkodzone przez wandalizm Portugalczyków i mnichów, którzy obrali groty za swe siedlisko. Teraz świątynia jest otoczona troskliwą opieką mieszkańców Bombayu i okolicy. Widzimy jej toaletę. Kilku półnagich, czarnych „cooli“ [4]) pracuje zawzięcie, myjąc i szorując bożki i boginie wielkiemi szczotkami i wodą, czerpaną z kubłów, zawieszonych na drabinach. Pojutrze będziemy w grotach Ellora, największej świątyni w Indjach, wykutej w skale. **Mundell-Lachowska.**

[1]) Wymowa: frandżipani. — [2]) Tadż Mahal. — [3]) Wzgórze Malabar'u. — [4]) Cooli: najemnicy do wszelkiego rodzaju robót.

•Jednoróg• wystawia

STANISŁAW ŻURAWSKI




lubujący się w gorących tonach rozsłonecznionego pejzażu, wystawia tym razem kilka doskonałych studjów portretowych, ciekawych zarówno pod względem zwartej formy, jak i koloru.

JANUSZ MARJA BRZESKI




jest w pierwszym rzędzie artystą-grafikiem, rozumiejącym świetnie walor linji i plany i umiejącym najskromniejszemi środkami stworzyć kompozycje o nowoczesnym wyrazie.

MIESZEK JABŁOŃSKI



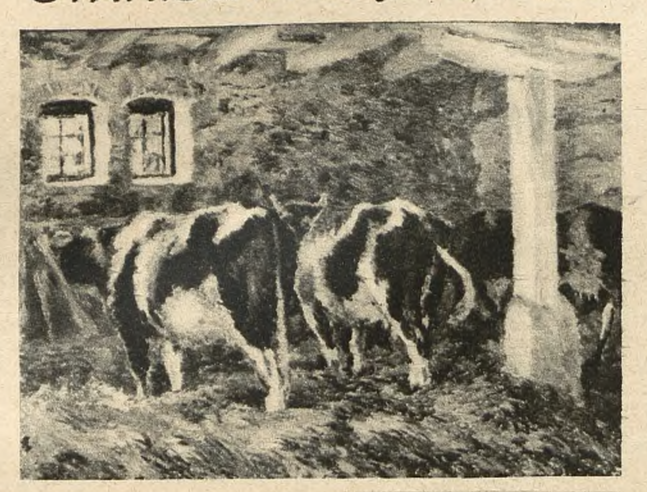

daje nam obrazy przesycone gorącą gamą renoirowskiego malarstwa. Prace jego świadczą o nieustannem poszukiwaniu nowych dróg i rzetelnej pracy.

JAN HRYŃKOWSKI




oparł swoją formę na najnowszych zdobyczach malarstwa francuskiego, nadał jej jednak indywidualne cechy swojej bogatej natury artysty-plastyka. Wystawia interesujące studja martwych natur.

STANISŁAW DĄBROWSKI




owocem jego pracy są liczne, bogate w kolorze studja pejzażu i wnętrza. Sztuka Dąbrowskiego nawiązuje do tradycji impresjonizmu.

JERZY FEDKOWICZ




uczeń Weissa, niezwykle żywotny artysta, wykazuje w swoich przepysznych pracach coraz to nowe ujęcia. Jego dążenie do jedności kompozycji formy i barwy osiągnęło doskonałe wyniki.

ROMAN ORSZULSKI




interesujący się żywo zagadnieniami dekoracyjnemi, wystawia tym razem portret kobiecy i martwe natury, malowane śmiałą szeroką fakturą.

POMNIK BOHATERSKICH ŻOŁNIERZY JAPOŃSKICH.



Trzej żołnierze japońscy Kitagawa, Sakue i Enoshita, którzy wysadzili w powietrze pozycję chińską, zgóry wiedząc, że stracą życie, doczekali się w niedługim czasie wspaniałego uczczenia ich bohaterskiego czynu. Oto zbudowano im w Tokio kamienny pomnik-grobowiec, przypominający ujęciem kompozycyjnem znaną grupę Rodinowską „Mieszczanie z Calais". Zdjęcie nasze przedstawia pracę przy ostatecznem wykończaniu pomnika, tuż przed jego odsłonięciem.

BRAMY HAREMU OTWARŁY SIĘ.



Po wypędzeniu ostatniego sułtana Abdul Hamida z Turcji, rząd republikański przejął na własność wszystkie jego pałace w Konstantynopolu. Dostęp do nich został otwarty dopiero w 1926 r., robienie jednak fotografij z wnętrza tych rezydencyj było surowo wzbronione. Dopiero teraz jedna z agencyj zagranicznych uzyskała pozwolenie na dokonanie zdjęć z sal, stanowiących ongiś harem sułtański. Mieszkało w nim kilka tysięcy pięknych kobiet z całej Turcji, dostarczanych do haremu przez specjalnych wysłanników, którzy opierali się na statystyce, prowadzonej przez władze prowincjonalne. Władz tych oka nie uszła żadna przystojna kobieta, gdyż za zatajenie groziły im surowe kary. To też Turcja, która przed wojną wogóle nie interesowała się statystyką, miała tylko jeden dokładny wykaz statystyczny, a mianowicie kandydatek na damy haremowe. Na zdjęciu widzimy łoże sułtańskie w haremie w Konstantynopolu. Zdjęcie to jest pierwszem, jakiego z tego objektu wogóle dokonano. W kole ostatni sułtan turecki Abdul Hamid II., zdetronizowany w 1909 r., zmarły, jako więzień 10 lutego 1918 r.

PIĘĆSET NUMERÓW ›ŚWIATOWIDA‹.

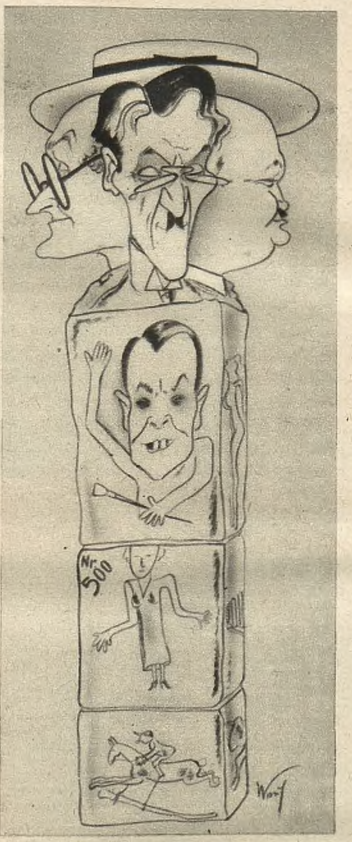
Pięćset numerów...

Pięćset numerów tygodnika — wszak to bezmała dziesięć lat. Przeglądamy te grube — w miarę postępu lat coraz grubsze — tomy „Światowida" i zanurzamy się formalnie w przeobfitości ich materjału. A gdy mając przed sobą ostatni numer naszego pisma, patrzymy na pierwszy — staje przed naszemi oczyma całe to pierwsze dziesięciolecie „Światowida", zawarte między latami 1924 a 1934.

Gdy przed dziesięciu laty wydawca i naczelny redaktor „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" poseł Marjan Dąbrowski powziął plan wydawania obok tego dziennika także tygodnika ilustrowanego, myśl ta ugruntowana była głęboko w poczuciu potrzeby społeczeństwa. Wszak w ówczesnym chaosie kształtowania się całego powojennego świata, kształtowała się i Polska, ta Polska, która właściwie sama o sobie wówczas jeszcze niewiele wiedziała. Daleką była np. dla Wielkopolanina Polska Kresów Wschodnich, Polak podhalański mało co wiedział o Polsce nadmorskiej. — A ciekawość do tych wszystkich rzeczy była w całem społeczeństwie z natury rzeczy bardzo wielka. Chciano oglądać to, jeżeli już nie w naturze, to przynajmniej na obrazku.

Powzięty przez red. Dąbrowskiego plan takiego pisma miał do zwalczenia z początku wiele trudności. Wybrało się technikę rotograwjurową jako najlepiej takiemu typowi pisma odpowiadającą. Ale, że to było jeszcze przed wprowadzeniem się koncernu „I. K. C." do dzisiejszej siedziby, zamówione potężne maszyny rotograwjurowe rotacyjne nie mogły narazie znaleźć tu w Krakowie pomieszczenia. Więc z konieczności d r u k o w a ł o się „Światowida" przejściowo zagranicą. — Przy całej sprawności obcej drukarni wynikały z tego nieraz nieporozumienia i pomyłki, czasem przykre, czasem raczej zabawne. Tak np. zaraz w pierwszym numerze przestawiono nam podpisy na dwóch fotografjach, skutkiem czego pod portretem Dumasa było objaśnienie „Dama Kameljowa", a pod wizerunkiem Małgorzaty Duplessis podpis: Aleksander Dumas. W jednym z dalszych numerów przestawiono nam tak podpisy pod dwie ryciny z dziedziny mody, z których jedna przedstawiała wytworną tualetę wieczorową, a druga... negliż. Gdy już o wesołych rzeczach jest mowa, zanotujmy, że w „Światowidzie" jest jedna jedyna fotografja p. Witosa w... krawatce. Posłaliśmy oczywiście fotografję bez krawatki, ale retuszer rozumując, że premjer nie może być bez krawatki, dorobił ją p. Witosowi. Dopiero po sprowadzeniu maszyn do Krakowa i umieszczeniu ich w „Pałacu Prasy" wydawnictwo nasze mogło rozwinąć się należycie. Oparłszy się z samego początku o wypróbowany już i doskonale zorganizowany aparat administracyjny „I. K. C." i dzięki niemu docierając do wszystkich zakątków ziemi polskiej i do wszystkich zagranicznych kolonij naszych rodaków, mogliśmy teraz ulepszać i treść i formę naszego pisma. Wprowadziliśmy w r. 1929 poraz pierwszy kolorowe ryciny, które dzisiaj w wielu domach w ramkach i za szkłem są ozdobą mieszkania. Prace nasze nie poszły na marne. Dzisiaj „Światowid" rozpowszechniony jest na całym terenie Rzeczypospolitej i we wszystkich kolonjach polskich zagranicą. Od najwyższych dostojników państwa do „maluczkich", wszyscy go chętnie witają. — Ze szczególną wdzięcznością notujemy tu życzliwość, jaką nas darzą p. Prezydent Rzplitej i p. Marszałek Piłsudski. — W przebiegu tych 10 lat otrzymaliśmy od trzech monarchów europejskich ich fotografje z własnoręcznym podpisem, a pierwszym z nich był bohaterski król Belgów. Z egzotycznych zamorskich krajów otrzymujemy niejednokrotnie od naszych rodaków korespondencje, świadczące o tem, jak miłe są im te obrazki z ich dalekiej ojczyzny.

Pięćsetny zkolei numer „Światowida" oddając dzisiaj w ręce Czytelników — zapewniamy ich, że wsparci ich zaufaniem i w dalszym ciągu pracować będziemy nieprzerwanie nad tem, by to nie nasze, ale ich pismo było coraz lepszem. **Redakcja.**



Jak sobie nasz sąsiad „z za ściany" – redaktor „Wróbli na Dachu" — wyobraża nowoczesny posąg „Swiatowida". Głowa bóstwa składa się z głów współpracowników „Swiatowida".

ZDEMASKOWANY POTWÓR.



Od kilku miesięcy toczy się dyskusja dookoła węża morskiego z Loch Ness, który to jezioro obrał sobie podobno za mieszkanie. Wiele osób miało go widzieć, znaleziono nawet na brzegu odciski stóp tego potwora, mimo to jednak uczeni do tych wszystkich wiadomości odnoszą się bardzo sceptycznie, uważając je za zręczny trick reklamowy, przy pomocy którego hotelarze z nad jeziora ściągają publiczność w te mało zwiedzane okolice. Obecnie świat został zaalarmowany nowemi wiadomościami o wyrzuceniu na brzeg morski w pobliżu Cherbourga we Francji jakiegoś nowego węża morskiego (na zdjęciu). Po bliższem badaniu okazało się jednak, że jest to tylko jedna z rzadkich odmian wieloryba.



Naczelny redaktor i wydawca „Światowida", poseł Marjan Dąbrowski, założyciel największego w Polsce koncernu prasowego.

JAK PRACUJE „ŚWIATOWID"



Tak wygląda wieczorem Pałac Prasy w Krakowie, centrala „Światowida".

Gdyby mnie zapytano, kto jest właściwie autorem „Światowida" odpowiedziałbym poprostu... życie. To życie, tętniące żywą krwią wypadków, wielkich kataklizmów, czy też małych codziennych zdarzeń, wypełnia przecież wszystkie kolumny każdego numeru „Światowida". Patrzymy na to życie tysiącem objektywów aparatów fotograficznych, otrzymujemy o nim wieści za pośrednictwem depesz, radjotelegramów, telefonów i reportaży... Popularnie mówi się, że redakcja jest mózgiem, który kieruje pismem, sądzę jednak, że to określenie jest niewystarczające. Jest ona nietylko mózgiem, jest jeszcze sercem i nerwami. Przez wiele dni wytężonej pracy, między dyskusją na temat najnowszych wydarzeń, a stukotem maszyny do pisania i nieustającym prawie dzwonkiem telefonu, rodzi się numer „Światowida", który wybijają w szalonym rozmachu błyszczące miedziowane walce maszyny rotograwjurowej. Dziś właśnie wybijają numer pięćsetny. Wydaje mi się więc słusznem, aby Czytelnik dowiedział się w paru słowach, jak naprawdę wygląda ta droga myśli i czynów, której ostatecznym wynikiem jest „Światowid".

Naczelny redaktor i wydawca „Światowida" poseł Marjan Dąbrowski, daje zasadnicze dyrektywy, jak ma wyglądać każdy numer „Światowida".

Większą część wiadomości ze świata w formie fotografij, czy artykułów przynosi poranna poczta. Ta poczta, która olbrzymiemi stertami zawala redakcyjne biurko, przechodzi przedwstępną selekcję, zostaje troskliwie przeliczona i odnotowana, rozsortowana i oznaczona. Wszystko to robi osoba, która pierwsza zjawia się w redakcji „Światowida" p. K. Sołtysowa i przedkłada cały materjał redaktorom „Światowida" dr. Józefowi Flachowi i dr. Janowi Lankauowi. Po tysiącznych dyskusjach wybrano artykuł. Teraz przystępuje do pracy artysta-malarz Alfred Żmuda, człowiek mający niezwykle ważną rolę w całym zespole redakcyjnym. Zadaniem jego jest układ kolumny, t. zn. wyznaczenie graficzne miejsc na fotografje i tekst. Są to bardzo trudne zagadnienia, jeśli weźmie się pod uwagę, że w każdym numerze trzeba stworzyć nowy układ. Rzecz prosta, że redakcja nie zadawalnia się materjałem, przychodzącym z zewnątrz. Tworzy ona sama zarówno artykuły, jak i zdjęcia, które wykonuje fotoreporterja „Światowida" pod kierownictwem J. Szwedy.

Fotoreporterja posiada liczne filje, rozsiane po całej Polsce tak, że już w kilka godzin po każdem wydarzeniu w granicach państwa polskiego otrzymuje centrala redakcyjna wraz z wiadomościami doskonałe zdjęcia.

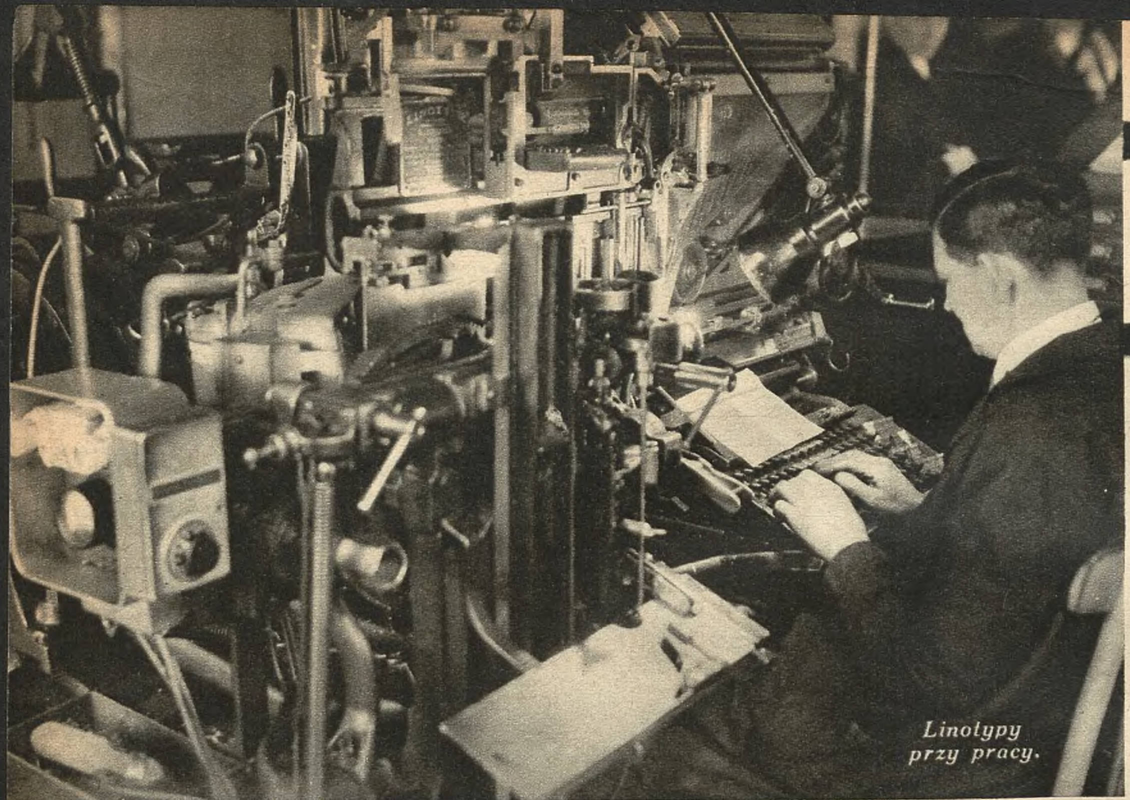
Artykuł napisany, kolumna „złamana" przez artystę-malarza.

(Dokończenie na str. 8-ej).

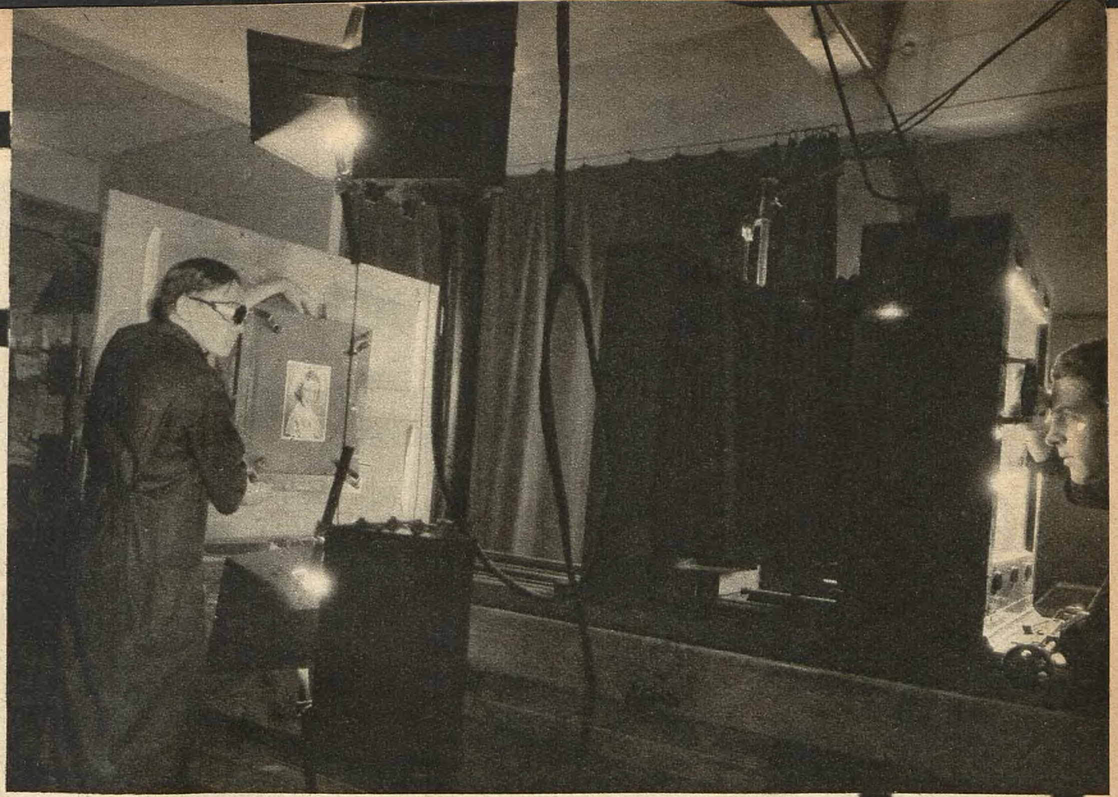


Redakcja „Światowida" przy pracy

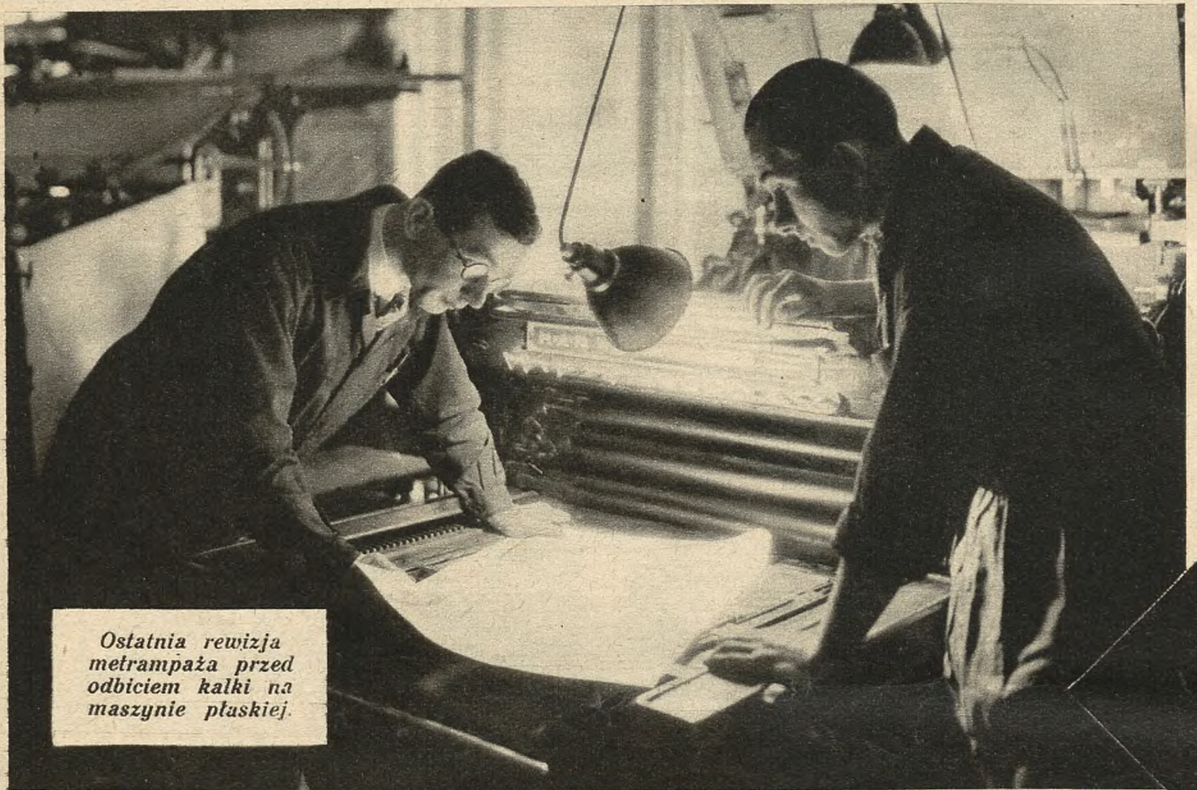
Jak pracuje „ŚWIATOWID"...



Linotypy przy pracy.



Fotografowanie na aparacie reprodukcyjnym.



Ostatnia rewizja metrampaża przed odbiciem kalki na maszynie płaskiej.



Montowanie „Światowida" na szkle.



Retusz kolorów.



Fotoreporter „Światowida".

(Dokończenie ze str. 7-ej).

Teraz zaczyna działać olbrzym-organizm techniczny „Światowida". Na wszystkich piętrach Pałacu Prasy wre gorączkowa praca. W zecerni stukają niecierpliwie pospieszne linotypy dzień i noc, składając tekst w szpalty, metrampaż p. Piekarski łamie kolumny, a równocześnie na najwyższem piętrze olbrzymi aparat reprodukcyjny zdejmuje ilustracje, przeznaczone dla „Światowida". Z zegarkiem w ręku, przy oślepiającem świetle lamp łukowych czuwa przy aparacie p. Fleischman. Wywołane klisze otrzymuje cała armja retuszerów. Najpierw opracowuje się negatywy, potem raz jeszcze pozytywy. Najbardziej skomplikowaną jest sprawa kolorów, które muszą być zdejmowane na trzech kliszach i następnie odpowiednim retuszem nasilane, stosownie do koloru żółtego, czerwonego, czy niebieskiego. Kolory te opracowują doświadczeni retuszerzy p. Litwin i p. Michniewski pod kierownictwem artysty-grafika Zygmunta S t r y c h a l s k i e g o. Skoro pozytywy, tym razem już filmowe, zostały wykończone, przystępuje się do montażu kolumn. Dzieje się to w ostatnim dniu przed rozpoczęciem druku „Światowida", kiedy materjał całego numeru jest już zupełnie gotowy. Na świecących matowych szybach stołów montażowych rozściela się przeźroczyste kalki z odbitką tekstu z zecerni. W miejsca wyznaczone wkleja się pozytywy filmowe i tu znowu cała trudność polega na „spasowaniu" trzech filmów, przypadających na jeden kolor. Zadanie to spoczywa na barkach p. Rumianowskiego. Gotowy montaż wraz z szybą przenoszą robotnicy do kopjarni i tam zostaje on przekopjowany na pigment niezwykle silnem światłem lamp łukowych. Pigment naświetlony przenosi się na walce, powleczone warstwą miedzi i przystępuje się do wytrawienia kwasami. Pracą w trawiarni kieruje p. Weingartner. Cztery wytrawione walce, trzy na kolory, jeden na czarny tekst zjeżdżają windą do maszyny-olbrzyma. To jest jedyny prawie krótki moment, kiedy redakcja może odpocząć. Redakcja czeka... Los numeru „Światowida" spoczywa teraz w rękach kierującego maszynisty p. Kuda, który chodzi koło tego potężnego smoka, jak koło własnego dziecka, po tysiąc razy ogląda każdy tryb i każdą śrubkę. Wreszcie maszyna rusza...

Po pomoście wysuwa się z maszyny cała falanga „Światowidów", które odbierają i składają młode dziewczęta. Już w kilka godzin potem auta, pociągi, czy aeroplany rozwożą „Światowida" po całej Polsce, Europie, po całym świecie.

Jan Szancer.



Tytułówka pierwszego numeru „Światowida", który ukazał się 9-go sierpnia 1924 r.



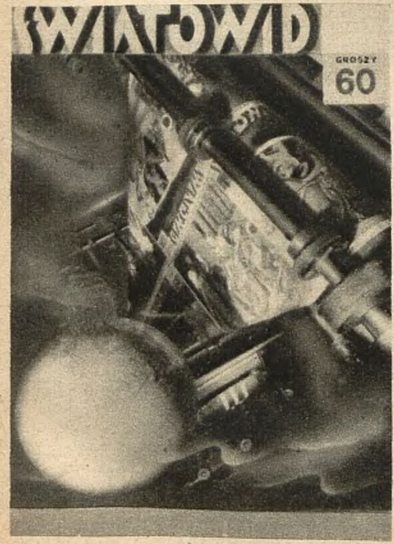
Pierwsza kolorowa okładka „Światowida" (7. XII. 1929).



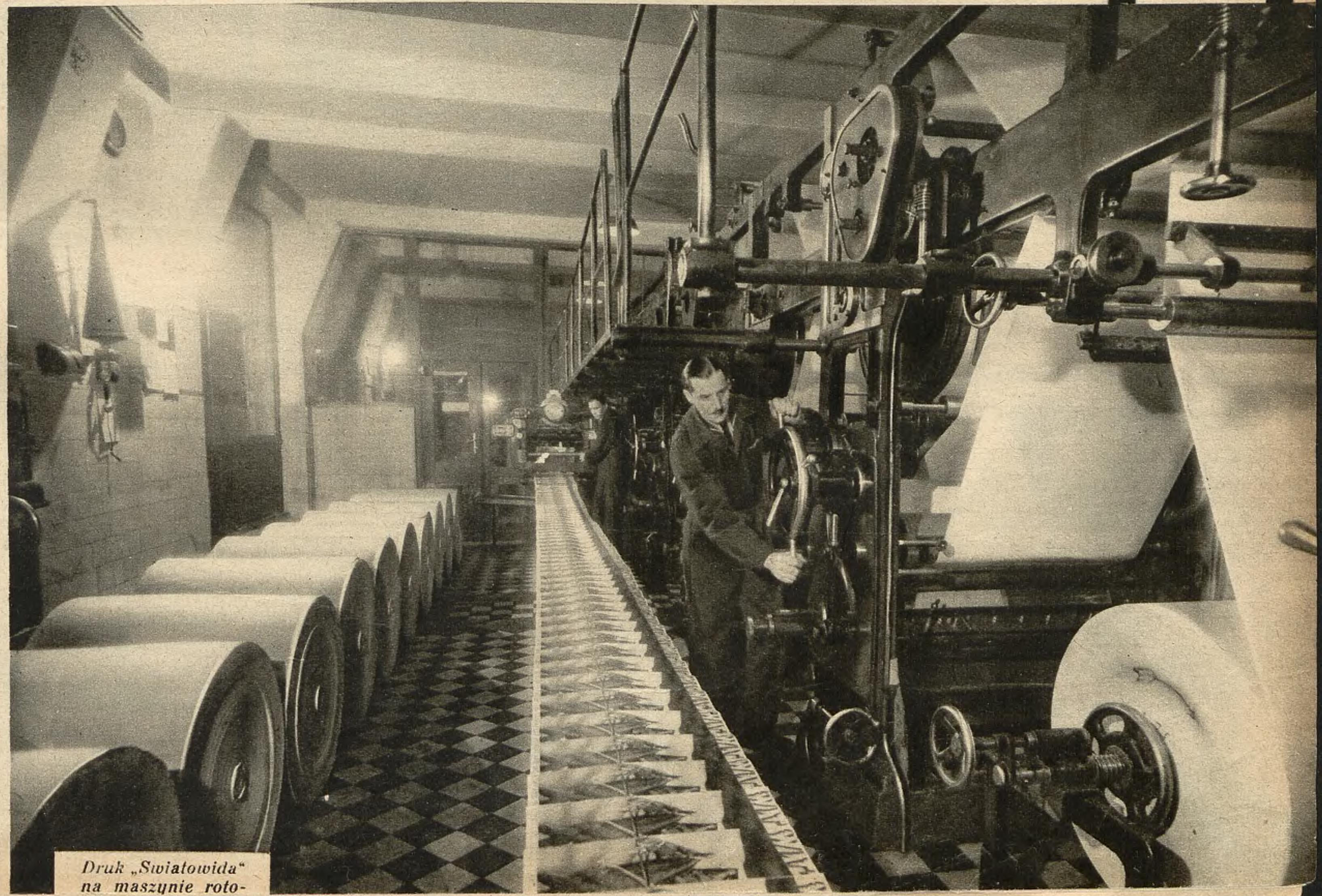
Tytułówka „Światowida" z dnia 21. VI. 1930 r., wykonana w dwukolorze i reprodukowana wielokrotnie zagranicą, w pismach włoskich, francuskich, itd.



Tytułówka numeru 499.



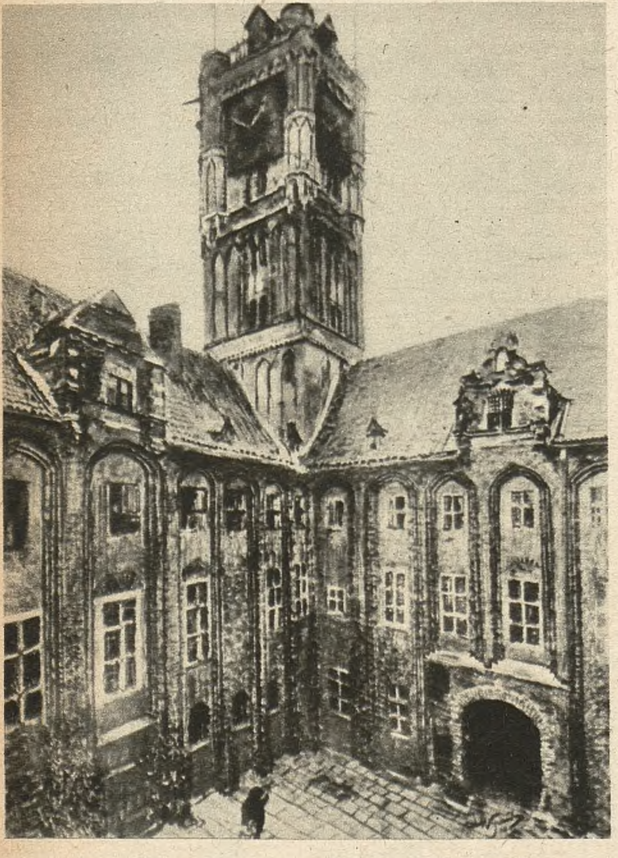
Tytułówka jubileuszowego, pięćsetnego numeru „Światowida".



Druk „Światowida" na maszynie roto-

LUDWIK PUGET.

WYCZÓŁKOWSKI O BRACIE ALBERCIE i UKRAINIE



Leon Wyczółkowski: „Ratusz w Toruniu“.

Siedzę w pracowni Leona Wyczółkowskiego i rozmawiamy. Z okien rozciąga się widok na ogromne, puste tereny podmiejskie. Wstają teraz nad niemi opary, w których zachodzi czerwone słońce.

Nieduża pracownia. W środku znana sztaluga z szyną na podłodze, ta wymyślona przez Wyczółkowskiego sztaluga, którą może zapomocą korby oddalać od siebie kilka metrów, nie poruszając się z krzesła, nie przerywając wytężonego skupienia wzroku.

Mówimy o pracach wystawionych obecnie w Poznaniu. Kilka portretów i serja pejzażów, od których jasno robi się na ścianach wystawowej sali. Akwarele, podtrzymane zwyczajnemi kolorowemi kredkami.

— Tu u siebie teraz malowałem, w Gościeradzu — powiada Wyczółkowski. — Ciągle siedziałem w tych czarnych rzeczach, wyszedłem z nich teraz jak borsuk na słońce. Naturalnie, widzę to także jako materjały do litografji. Układają mi się trochę jak angielskie sztychy kolorowe. Chciałem poszukać nowego ujęcia pejzażu. Znalazłem w tych rzeczach dużo odnowienia.

Jak zawsze, Wyczółkowski tworzy wyrazy. Syntetyczne, ekspresjonistyczne wyrażenia, zaimprowizowane, zachowane potem w własnem osobistem słownictwie, a doskonałe w swej dosadności i precyzji. Od tego człowieka promienieje ustawiczna, niewyczerpana i w wszystkich szczegółach się wyrażająca twórczość. Tworzy własną technikę, wprowadzając przy każdem niemal dziele nową fakturę, nowe „tricki“, wymyśla system sztalugi, tworzy własne słowa. Nic seryjnego, wszystko na jego własną indywidualną modłę. A jednocześnie w sztuce ustawiczne dążenie do doskonałości coraz nowych. Otacza to Wyczółkowskiego aurą jakiejś wyjątkowej świeżości i siły. Jakiejś wyjątkowej „krzepy“ — chciałoby się powiedzieć.

Oglądamy zawartości różnych tek. Pokazuje mi wspaniałą litografję ołtarza stwoszowskiego w kościele Marjackim, która cała utrzymana jest w charakterze starego drzeworytu. Jeden z tych majstersztyków rysunkowych, w jakich celuje Wyczółkowski. Litografja odbita tylko w 15-tu egzemplarzach, nigdzie jeszcze nie wystawiana.

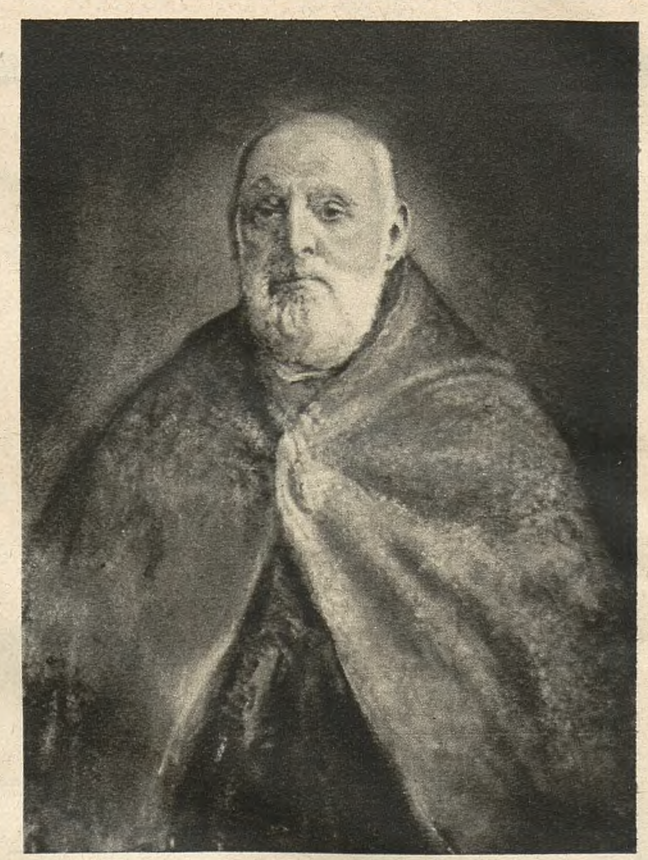
— Widzi Pan — powiada — mnie zawsze od drzeworytu odstręczała jego sucha linja. Akwaforta jest cudowna, ale tutaj, między artystą, a rezultatem jest całe długie trawienie. Tymczasem litografje daje bezpośredni efekt, bezpośrednie wyładowanie temperamentu.

Z poza jakiegoś mebla ukazuje się olejny obraz przedstawiający Brata Alberta, warjant tego, który się obecnie znajduje na wystawie. Serdeczne koleżańskie stosunki łączyły niegdyś Leona Wyczółkowskiego ze starszym od niego Chmielowskim.

— To był nadzwyczajny człowiek — zaczyna opowiadać — wielkiej ogłady towarzyskiej i wielkiego wykształcenia. Wobec kolegów był on zawsze jakby kierownikiem, doradcą. Bardzo on wpłynął na Witkiewicza. Właściwie większa część teorji Witkiewicza skrystalizowała się pod wpływem Chmielowskiego. Dużo widywaliśmy się we Lwowie, gdy jeszcze jako człowiek świecki, mieszkał u Jezuitów i tam u nich przy kościele miał pracownię. Brały go wtedy chwilami takie świeckie zachcianki. Raz u mnie zobaczył naciągnięte płótno. Wziął pędzel i wymalował przechodzącą nimfę. Potem powiedział mi: wiesz, ty takie dobre kwiaty malujesz, domaluj jej tu kwiaty. Ale potem zreflektował się. Przemalował płótno. Na tej nimfie zrobił widok z Rzymu, który teraz jest u prof. Kostaneckiego. Ponury obraz, cały czarny i czerwony. Jeszcze tam w rogu, w niezamalowanem miejscu, przebijają się moje kwiaty.

Słucham tych ciekawych wspomnień i skierowuję rozmowę na lata spędzone przez prof. Wyczółkowskiego na Ukrainie. Ożywia się ich przypomnieniem.

— Dziesięć lat tam przesiedziałem! Z tego przez pierwsze pięć zaszyłem się u pewnego znajomego tak, że nikt nie wiedział gdzie się znajduję. Tam się odnowiłem i zrzuciłem z siebie wpływy akademji. Cudowny kraj! Przez trzy miesiące nocowałem w szałasie nad Rosią. Malowałem wschody i zachody słońca. Żal mam do siebie, bo to wszystko zniszczyłem! Cudowny kraj, rozśpiewany. Gdy malowałem tam figuralne obrazy, wśród orki przy wybieraniu buraków, wszyscy wkoło śpiewali w głos, i ja z nimi.



Leon Wyczółkowski: „Brat Albert“.



Leon Wyczółkowski: „Anemony“.

Drugiem, również silnem przeżyciem, odnowieniem się, były dla Leona Wyczółkowskiego Tatry.

Ale w rzeczywistości dla tego niespożytego twórcy i eksperymentatora, każdy rok jest odnowieniem. I słuchając jego opowiadań, ulegając czarowi jego obrazowych określeń, spoglądając na stosy studjów, leżące przed nami, myślę o wielkim japońskim Hokusaju, który mając 80 lat oświadczył, że wreszcie wie, jak malować trzeba i przez 20 lat zgórą potem jeszcze arcydzieła tworzył.

Takim właśnie człowiekiem jest Leon Wyczółkowski.

Rodzinny Znicz nad polskiem morzem płonąć będzie w „jednorodzinnych domkach“ T. B. O.







Szaleństwo kajakowe rośnie.



Gdy lat temu parę na Wiśle pojawiły się pierwsze składane kajaki — powitano je z uśmiechem lekceważenia i wyższości. W owych czasach człowiek, który poświęcił się sportowi kajakowemu, traktowany był jak szaleniec.

Czasy jednak szybko się zmieniły i dziś kajakomanja stała się tak popularną w lecie, jak narciarstwo w zimie. Sport ten ma szczególne walory, gdyż kajakowiec jest niezależnym od przystani, klubów itp., a przytem kajak to wymarzona okazja do podróży we dwoje, szczególnie rozpowszechnionych wśród kajakowców.

Nie należy sądzić, iż sport kajakowy jest wymysłem Europejczyków. Wynaleziony on został grubo wcześniej przedewszystkiem przez Eskimosów, którzy używają kajaków do połowu ryb i dalekich nawet podróży. Oryginalne typy znajdujemy w Kanadzie, t. zw. canoe, oraz na Polinezji i wyspach Hawajskich. Tam kajaki są bardzo wąskie, a równowagę zapewniają im długie odsadnie, zaopatrzone w pływaki na końcu. W tego rodzaju łodziach odbywają się wyścigi kajaków o mistrzostwo Hawaji. Na zdjęciu hawajska osada kajakowa, trenująca do mistrzostw, które odbędą się w najbliższym czasie. Osada ta zdobyła mistrzostwo w roku 1933.

TROCHĘ O SERCU WARSZAWIANEK.



Niesłychanie to trudno pisać o warszawiance czarnym atramentem, wiedząc na dobitek złego, że rękopis zostanie oddany na rotacyjną maszynę, która słowa te tłoczyć będzie przez hałaśliwe tryby... ciemną farbą. O warszawiance pisać się powinno na płatkach kwiatów piórem wyskubanem ze skrzydła anioła, a czytać je należałoby przy dźwiękach fletni. Tak samo barbarzyńskim pomysłem było nadanie miastu, które taką kobietę wydało, herbu w postaci półryby, pół-szczupaka po żydowsku. Gdyby mnie zlecono zaprojektowanie klejnotu warszawianki, wykombinowałbym coś w rodzaju pół kobiety, pół antylopy. To byłoby pięknie i bardzo symbolicznie. Oczy i nogi gazeli, a z kobiety to, co zasługuje na uwagę.

Acha! — powiedzą inne piękne panie we Lwowie, Krakowie, Poznaniu i Wilnie — jegomość zakochał się zapewne w warszawiance jakiejś i ta mu na mózg uderzyła jak miody Fukiera... Otóż nie, piszący te słowa jest w wieku, w którym piękno widzi się bardzo już krytycznie, nie filtrowane przez pryzmat własnych sentymentów.

Prawdą jest jednak niezbitą, że warszawiance cech pewien rzemieślniczy zawdzięcza nietylko fortunę, ale i sławę wiekową.

Cech szewski. Nie byliby szewcowie stołeczni tak znani, gdyby nie stało im tak wdzięcznych modeli. Każdy damski szewc, na gemzową robotę, przeniesiony i przeflancowany do każdego innego kraju, traci swój kunszt i z mistrza damskiego zaczyna produkować buty z cholewami... dlatego, że nóżek warszawskich mu nie stało.

Ale czy tylko nóżka warszawianki, stopka, która w jeden dzień pobiła niezwyciężoną nigdy armję Napoleona, na specjalną uwagę zasługuje?...

Otóż nie. Poza gracją i szykiem, których zazdrościć warszawiance mogą piękności z Champs Elysées ma warszawianka i klejnocik jeden, a wielki, którego nie wszystkim kobietom użyczyć raczyła natura... Ma serce. Serce prawdziwe — kobiece, płakać i krwawić się potrafiące, ale i zdobyć się mogące na miłość wielką, miłość serdeczną. Wiemy, jak pięknie i zwodniczo kochać umiały wielkie amoureyse'y Warszawy, wiemy, jak kochać potrafi małe biedne dziewczątko z Woli czy Czerniakowa.

Figlarną bywa i trzpiotowatą, lekkomyślną, aż... do zapomnienia się niekiedy, ale gdy pokocha, to „żeby cię nagła krew zalała, mój królewiczu, jakbym cię z inną małpą zobaczyć miała":

Jest to powiedzenie bardzo serdeczne i kochane, bardziej, mimo formy pozostawiającej nieco do życzenia, szczere i milsze od perfumowanych duszynych zaklęć pięknych kochanek Sewilli czy Madrytu.

Ale i cierpieć potrafi maleństwo kochane bardzo i pamiętą i rozpamiętywa w smutku długo, długo... Dobre ma serce i prawdziwe, chociaż niekiedy błyskotliwą i jaskrawą polewą prostoty okraszone.

Nie należy poznawać i sądzić warszawianki, patrząc na nią w świetle kinkietów dancingowych, nie należy o jej duszyczce sądzić z papużkowych słów i kolibrowej kokieterji... ale poznać ją trzeba w normalnem jej środowisku w domu i przy pracy, na wyboistej nieraz ścieżynie życia... i tam, gdzie jest sobą przy troskach i radości, w chwilach kochania w Łazienkach i szarych chwilach trosk... przy murze Powązkowskim.

A wtedy, wtedy przekonamy się ze zdumieniem wielkiem, że rozkrzyczane i puste papużiątko umie płakać naprawdę (i to prawdziwemi łzami), umie się śmiać z całego dobrego swego serca, pracować tyle, ile małe rączęta wydołać mogą i być dobrą żoną, kochanką i matką.

Niesłuszny niekiedy sąd wydajemy o warszawiance, małem, pięknem stworzonku, ulice szare stolicy przebiegającem... niesłuszny i krzywdzący.

Weźmy ją za rączęta małe i pójdźmy z nią na spacer daleki, poważnie i serdecznie z nią rozmawiając. A gdy zaufa nam, gdy zdołamy ją pozyskać i gdy może nawet pokocha, inną się nam wyda, dobrą, mądrą i stateczną.

Nie sądźmy więc warszawianki po pięknej linji jej sylwetki, starajmy się poznać i walory jej serca... a sąd wydamy inny, dawne krzywdzące ją oceny — raz na zawsze przekreślając.

F. Dangel.

ĆWICZENIA WOJSKOWE W REJONIE PRZEMYŚL—LWÓW.



Inspektor armji gen. Rómmel na terenie ćwiczeń.

Droga i pole zawiane. Jak okiem sięgnąć, wszędzie ścieli się biały całun śnieżny. Mróz zagnał ludzi do chat. Wieś jakby śpi w letargu. W tem na horyzoncie ukazuje się czarna masa. Słychać równy miarowy krok maszerujących oddziałów, tętent kopyt końskich i stuk armat.

Maszeruje wojsko. Oddział za oddziałem, pułk za pułkiem. Wybiegli chłopi na gościniec. Przypatrują się wojsku. Śmieją się im oczy do żołnierzyków, bo to przecież swoi a nie obcy, jak w 1914 roku, kiedy temi samemi drogami waliły rosyjskie armje Radki Dymitrjewa na Przemyśl, a okolicą wstrząsał ponury huk dział.

W tem pada komenda. Kolumna zatrzymuje się i rozwija się w szyk bojowy. Armaty zajeżdżają na pozycje. Zaczynają grać karabiny maszynowe. Wywiązuje się bitwa...

Ćwiczeniom tym przygląda się inspektor armji gen. Rómmel. Twarz jego wyraża zadowolenie, bo oddziały spisują się świetnie.

Wieczorem chaty zapełniają się żołnierzami, płoną po wsiach biwaki. Wesoły śpiew bije pod niebiosy. Cieszą się żołnierzyki, że mają ćwiczenia, niosące odmianę w ich szarem, koszarowem życiu.



Patrol podoficerski piechoty na zwiadach.



Ciężki karabin maszynowy na stanowisku.



Samochód pancerny w walce z piechotą.



Inspektor armji gen. Rómmel w drodze na ćwiczenia. Auto utknęło w zaspach śnieżnych i trzeba je popychać.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOTOGR. W. PIKIEL WARSZAWA.



Patrol oficerski w marszu.

Pod znakiem wełny i jersey'u.



Suknia wełniana przybrana gęsto stembnowaną skórą w trzech kolorach: srebrnym, czarnym i szaro-białym. Duże guziki rogowe.



Szary kostjum Mainbocher, przybrany czerwonemi guzikami Bluza czerwona w szare pasy i czerwony berecik.



Kostjum podróżny Wortha z naturalnego szantungu z dużą klamrą rogową przy pasku. Do tego krawat z brązowego astrachanu.



Oryginalny krój płaszcza wiosennego z rodzajem kapucyńskiego kaptura, ale nie narzuconego, lecz utworzonego ze specjalnego kroju pleców.

Wiosna opowiada się narazie wyłącznie za materjałami wełnianemi, z których jerseye mają jak dotąd największe powodzenie. Są one coraz ładniejsze i układają się bardzo elegancko na figurze. Jako nowość wprowadzono także jerseye dwustronne, co bardzo urozmaica wiosenne kostjumy. A kostjumy są hasłem dnia. Kostjumy o efektownym kroju, przybrane bardzo często różnorodnymi guzikami. Wykonuje się je dzisiaj w dużych ilościach z masy perłowej. Modne są również rogowe lub obciągnięte tym samym lub kontrastowym materjałem. Moda idzie tu nawet tak daleko, że jasny kostjum przybiera się guzikami z ciemnego futra!

Do kostjumu nieodzowne są bluzeczki. To też widzi się je na wiosennych wystawach w wielkich ilościach i niezwykłej rozmaitości. Od zawsze modnych białych, poprzez wszystkie wzorzyste jedwabie o najrozmaitszych deseniach, aż do srebrnych i złotych lam... wybór ich jest olbrzymi. Do skromnego wełnianego kostjumu można ubrać np. bluzkę z przejrzystej cieniutkiej srebrnej lub wzorzystej lamy. Jest to dość niespodziane połączenie, bo dotąd lamy noszone były tylko do jedwabnej spodniczki. Niemniej jednak wygląda to niezwykle uroczo i wcale nie razi przy dziennem świetle.

Wogóle złote i srebrne nitki nęcą od jesieni dyktatorów mody, nie dając im widocznie spokoju. Materjały przetykane niemi bardzo się podobały ubiegłej jesieni, ale traktowałyśmy tę modę jako zupełnie przejściową. Teraz ugruntowuje się ona coraz bardziej i stanowi jeden z atutów mody wiosennej.

W sukniach wieczorowych odgrywa nitka złota i srebrna a z nią lamy i błyszczące paillety dużą rolę. Połyskliwe lśnienie tych materjałów nadaje się rzeczywiście idealnie na strój wieczorowy... i póki nie spowszednieją nam te cacka, nosić je będziemy z całą niekłamaną przyjemnością.

J. Z.



Sportowy kostjum z jersey'u białego z czarnym. Szeroki pasek z lakierowej skóry spięty metalową klamrą. Biała bluza z dużemi guzikami.

W ŚNIEŻNEJ PUSTYNI KARPAT WSCHODNICH.



Kozły w Czarnohorze.
Zdjęcia fot. Pręgowski.

Właściwą kolebką narciarstwa polskiego są Karpaty wschodnie, które dzięki temu zajmują zaszczytne miejsce w jego historji. W tych bowiem, do dziś jeszcze za mało znanych górach tworzył się polski ruch narciarski, który tak szeroką falą zalewa obecnie cały kraj. Na wysokich, trudno dostępnych i jakże pierwotnie dzikich, a zupełnie przedtem w zimie nieznanych, wierzchołkach i graniówkach Karpat wschodnich, pierwsi adepci i propagatorzy narciarstwa polskiego zdobywali i utrwalali przed zgórą ćwierćwieczem nietylko kunszt dobrej i pewnej jazdy na nartach, ale przedewszystkiem dali już wówczas bezsporne świadectwo prawdzie o zachodzącej i nierozerwalnej łączności pomiędzy nartami a górami! Na terenach Karpat wschodnich wykazały narty, te „poczciwe bydlęta", że istota przyjemności narciarskich wymaga gór i jeszcze raz gór, bez których narty, jako źródło rozkoszy są nie do pomyślenia.

Karpaty wschodnie rozciągają się od przełęczy Łupkowskiej (657 m) na zachodzie, a kończą na wschodzie dopiero w przełęczy Przysłopieckiej (1418 m), a na ich całość składają się Bieszczady, Gorgany, Czarnohora i Karpaty Marmaroskie. Każde z wymienionych pasm, to nietylko jednostka jednolita geograficznie, ale także (i przedewszystkiem) gniazdo górskie turystycznie samodzielne, niejako zamknięty w sobie „typ", odróżniający się od pozostałych bądź pod względem wysokości szczytów i grani, bądź z powodu szczególnych cech swej ornamentacyjnej nadbudowy, lub wreszcie dla odrębnych rysów krajobrazu. Przytem, co jest faktem niewątpliwie znamiennym, owe wyróżniające „cechy szczególne", owe indywidualne bogactwa „wdzięków" turystycznie pożądanych, a przedewszystkiem wysokość szczytów i przełęczy — postępują w Karpatach wschodnich nieodmiennie (z małemi odchyleniami) z zachodu na wschód.

Karpaty wschodnie są terenem dla narciarstwa ze wszechmiar wyjątkowym, podobnego mu niemasz gdzieindziej w Polsce. Teren ten, imponujący wprost swym bezkresnym obszarem, jest jak najbardziej urozmaicony i zróżniczkowany w swej strukturze, posiada zatem możliwości narciarskie o różnorodnej skali trudności. Jednakże skala ta idzie zawsze ku górze, bo tereny Karpat wschodnich nie są bynajmniej narciarsko łatwe, po których byle „zimorodek" może sobie niefrasobliwie „pędlować" bez obawy złamania skrzydełka.

Jako teren zimowy Karpaty wschodnie nakazują respekt. Interesujące turystycznie wierzchołki, ich granie i grzbiety mają tu zawsze solidną wysokość, przepaściste zbocza i często urwiste, skałami przetykane ściany. W zimie przybierają one specjalnie groźny, nieomal alpejski wygląd przez fantastyczne draperje śnieżne, przez mistrzowsko zawieszone nad przepaściami śnieżne ekapy i nawisy, przez wystające ze śniegu turnie i skały. Wogóle w czasie panowania zimy i śniegu następuje w Karpatach wschodnich przedziwna metamorfoza: tereny, w lecie zupełnie nietrudne, przedzierzgają się w nadspodziewanie uciążliwe. Do zdobycia w zimie najważniejszych poszczególnych wzniesień Karpat wschodnich potrzeba jest zatem nietylko nart na nogach, trzeba jeszcze wydobyć z siebie cały zapas (choćby się go nawet nie posiadało) energji i woli, zuchwałej nieraz odwagi, a również i... drogiego potu...

Dlatego nie będzie przesady w tem, gdy powiemy na zakończenie: najlepszą szkołą dla narciarstwa turystycznego są Karpaty wschodnie.

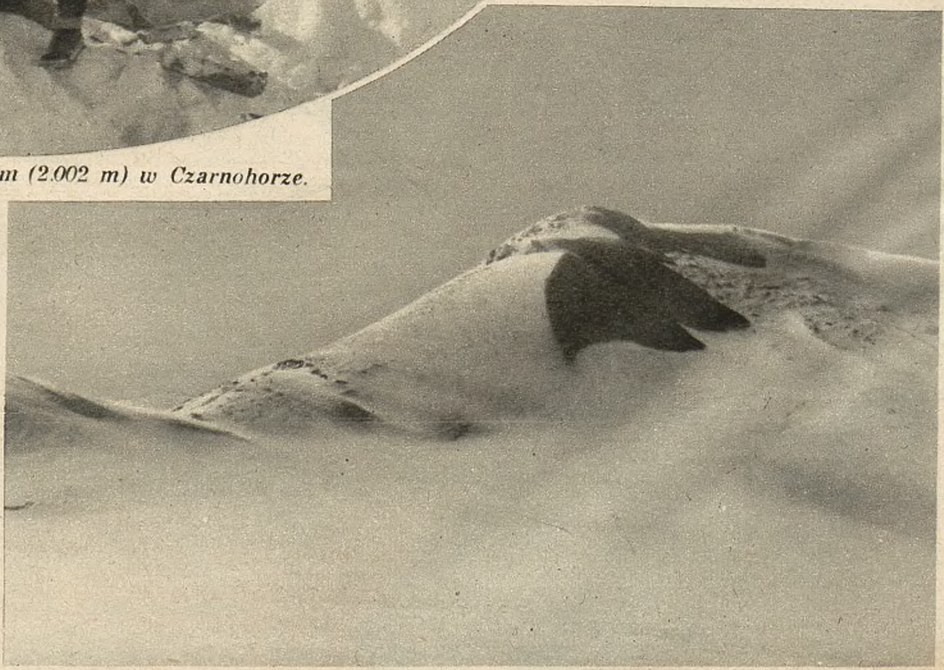
Zenobjusz Pręgowski.



Nocny biwak pod Munczelem (2.002 m) w Czarnohorze.



„Plecy" Howerli (2.056 m).



Turkuł (1.982 m) w Czarnohorze.

FILM



CZARUJĄCA RUMUNKA. Pola Illery, bohaterka znanych nam dobrze filmów znakomitego reżysera Rene Claira, jest rodowitą Rumunką. Jest rzeczą powszechnie znaną, że Rumunja dostarczyła wytwórniom filmowym wielu gwiazd. Rumunki bowiem należą do najpiękniejszych kobiet świata. Rene Clair pokazał niezwykłą urodę Polly Illery najpierw we filmie „Pod dachami Paryża". Od tego czasu kreuje ona rolę Paryżanki, w dalszym jego filmie „14 lipca", a obecnie w „Bezimiennej ulicy". Nasze zdjęcie, na którem Pola Illery czaruje nas swoim wiośnianym uśmiechem jest właśnie fotosem z jej ostatniego filmu.

NIECH SIĘ ZAGRYZĄ NA ŚMIERĆ.

Reżyser Clyde E. Elliot przystąpił do kręcenia nowego egzotycznego filmu, w którym główne role grają dzikie zwierzęta. Przeznaczono je zgóry na śmierć, aby kinomanom dostarczyć nowych, prawdziwie sadystycznych dreszczy. Zwierzęta bowiem zagryzają się wzajemnie na śmierć.

Na pierwszą próbę wybrano sudańskiego lwa i bengalskiego tygrysa. Wygłodzono je poprzednio i podrażniono. Rozwścieczone bestje rzuciły się na siebie z piekielnym rykiem i zwarły w śmiertelnym uścisku. — Zwycięstwo przypadło w udziale tygrysowi, który rozszarpał lwa na drobne kawałki, ale sam przytem odniósł także ciężkie rany.

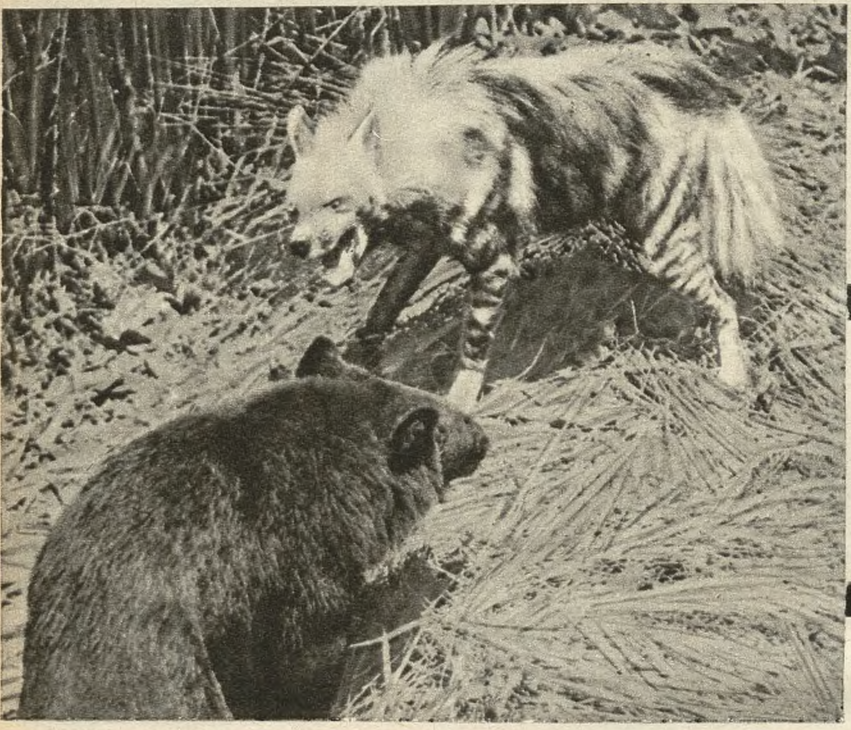


Mrożąca krew w żyłach walka tygrysa z lwem.

W drugiej parze walczyła hjena z niedźwiedziem malajskim, nie mogąc oczywiście sprostać przeciwnikowi, posiadającemu żelazne muskuły i olbrzymie pazury. Napróżno hjena, srożąc się, próbowała utopić swe kły w kudłach niedźwiedzia, trzepnięta łapą, padła ze zgruchotanym kręgosłupem.

Najbardziej niesmaczny charakter miała walka małej małpki z olbrzymimi krabami.

Prawdziwie barbarzyński film, ale trudno się dziwić, skoro barbarzyństwo jest dzisiaj na porządku dziennym.



Przed pojedynkiem hieny z niedźwiedziem malajskim.



Beznadziejna walka małpki z krabami.

Cybulski podróżuje po Kresach

Wsiadając do pociągu, na jednej ze stacyjek kresowych widzę wyglądającą przez okno wagonu jakąś znajomą twarz. Pociąg na Kresach idzie nieslychanie wolno, a małe, opuszczone stacyjki wraz z tłumami Wołyniaków, czy Poleszuków mało dostarczają atrakcji podróżnemu — to też zdecydowałem się odszukać w pociągu tego znajomego, aby porozmawiać z nim i w ten sposób skrócić sobie przekleçie wlokący się czas. Znajoma twarz okazała się własnością jednego z najmilszych i najsympatyczniejszych aktorów filmowych Polski: Mieczysława Cybulskiego.

Tak, niema w tem blagi, że jest on jednym z najpopularniejszych, zwłaszcza u kinomanek polskich, amantów filmowych. Zdaje się, że zarówno pod względem męskiej, typowo słowiańskiej urody, jak i wielkiej bezpośredniości w grze, Cybulski wyróżnia się z pośród plejady gwiazd i gwiazdek. Podobnie, jak szereg doskonałych artystów (np. Nora Ney, Krystyna Ankwicz, Tadeusz Ordęga, Tom Breza), Cybulski nie został należycie do tej pory wykorzystany przez reżyserów i operatorów. Posiadając prawdziwy talent, Cybulski był, poza kilku wyjątkami, fatalnie obsadzany w rolach, do których ani urodą, ani grą, ani nawet logicznością scenarjusza — nie był predestynowany.

Największy sukces osiągnął Cybulski, grając tytułową rolę w filmie „Cham". Zarówno prasa krajowa, jak i zagraniczna („Cham" był wyświetlany w 12 krajach zagranicą) podnosiły z uznaniem grę Cybulskiego — artystę filmowego o przekonywującem, bezpośredniem przeżywaniu swojej roli. W komedji sportowej „100 metrów miłości" grał on miłą rolę szofera, czyniąc w ten sposób zadość swoim upodobaniom, gdyż nadewszystko przekłada samochody.

— Muszę panu powiedzieć, że dla mnie samochód to najulubieńszy sport. Największą rozkoszą jest poczuć pod sobą dobry wóz, no i gnać. Tylko proszę nie myśleć, że ja jestem takim kierowcą „z mokrą głową". Za długo i za dużo jeżdżę (będzie już z 10—12 lat), abym chciał ryzykować życie swoje i przechodniów. Samochód wolę od narciarstwa, które, nawiasem mówiąc, miałem sposobność uprawiać podczas ostatniego objazdu z zespołem wileńskim.

Trzeba panu wiedzieć, że od października gram w teatrze wileńskim. Prawdę mówiąc, pierwszy raz jestem w prawdziwym teatrze, gdyż niesposób jest brać pod uwagę rozmaite scenki i rewje. W przeciwieństwie do moich kolegów filmowych — przeszedłem od filmu do teatru. W teatrze wileńskim czuję się doskonale. Mamy świetną atmosferę pracy. Przyczynia się do tego publiczność teatralna. Nastrój rzetelnej pracy i przychylne ustosunkowanie publiczności sprawiają, że gra się nadzwyczaj chętnie i miło wszystkie role. Ostatnio graliśmy m. i. „Lekarza bezdomnego" Słonimskiego, przyczem ja grałem rolę Stefana, rolę trudną i niewdzięczną. Pomimo to jednak zdaje się — mówi Cybulski z swym przemiłym uśmiechem — „wyszedłem cało". Potem graliśmy tę samą sztukę w 30 miastach na Kresach wschodnich.

— Zasadniczo więc z teatru jest Pan zadowolony?

— Oczywiście. Teatr dał mi bardzo dużo, zwłaszcza praca z takim reżyserem jak Schiller. Znając doskonale „kulisy" i zasady pracy przed objektywem, mając równocześnie pewną dozę rutyny i doświadczenia z pracy teatralnej, będę mógł sobie lepiej i łatwiej dawać radę z mojemi następnemi rolami filmowemi...

— Jakiemi?

— W tegorocznej produkcji będę zapewne grał w dwóch filmach. Jeden wraz z świetnym artystą, znanym z rozmaitych filmów zagranicznych, Iwanem Petrowiczem i Krystyną Ankwicz, drugim zaś będzie komedja muzyczna na wzór zagranicznych (Ericha Pommera) — z popularnym zespołem jazzowym „Front-Heymann".

— Na ten rok ma Pan więc jedno marzenie do zrealizowania: film.

— Nie tylko film. Mam jeszcze dwa marzenia. Jedno z nich to, abym mógł występować w teatrze, grając jednakże w nieco poważniejszym, trudniejszym repertuarze, a drugie... drugie, abym mógł widzieć częściej kogoś, kto jest tak strasznie daleko odemnie. Dzieli ją odemnie trzydzieści kilka godzin jazdy koleją z Wilna.



Mieczysław Cybulski.

— To rzeczywiście strasznie daleko. Gdzież mieszka Pańskie marzenie: w Gdyni, Katowicach, Ko Łomyji, czy Lwowie...

— Właśnie to ostatnie.

Jest więc niedobrze. Cybulski jest zakochany i zajęty. Nic z wzdychania dziewcząt z dalekiego Rybnika, Baranowicz, Pułtuska, Wrześni, Kielc, czy Rypina. Może i lepiej nie wysyłać listów ze znaczkiem przylepianym drżącą ze wzruszenia ręką. Nic z pięknych planów, piękne panie. Ale Cybulskiego nie przestaniemy lubić. Był on i jest nadal miłym chłopcem. A że się zakochał, to trudno. Nieszczęścia chodzą po ludziach...

J. Radzimiński (Lwów).

„Z KAMERĄ FILMOWĄ NA ALASCE".

Reżyser filmowy Van Dyke pisze o pracy przy nakręcaniu filmu „Eskimo".

ROZDZIAŁ V.

Egzotyczne „gwiazdy ekranu".

Artyści, którzy grają w naszym filmie nie są zawodowymi aktorami. Również i biali ludzie, którzy w myśl scenarjusza grali rolę policjantów, załogi okrętowej itd. byli w całem tego słowa znaczeniu aktorami z przypadku. Wszyscy bowiem rekrutowali się z załogi naszego „Nanuka". Freuchen grał rolę kapitana, zresztą był odrazu do tej roli desygnowany. Eskimosi zaś sami garnęli się do swych ról. Zasadniczo nie musieliśmy się z nimi porozumiewać przez tłumacza, gdyż i tak nie mieli nic ciekawego do powiedzenia. Powinni byli tylko działać, a z tego wywiązywali się świetnie. Ja, jako reżyser filmu, jedynie o to się troszczyłem. Wśród tubylców znaleźliśmy szereg naprawdę doskonałych sił aktorskich. Ibrulik — jeden z aktorów — mieszkał w małej wsi, zbudowanej pomiędzy skałami na wysepce w pobliżu przylądka Lizburne. Przed kilku laty przedstawiciele władz odkryli pewną piękną wyspę i zwrócili się do mieszkańców wsi, w której mieszkał Ibrulik, czy nie chcieliby się tam przesiedlić. Mieliby tam łatwy i spokojny żywot. Ale Eskimosi odmówili bez wahania. Latami całemi walczyli, aby umożliwić sobie życie wśród skał. Lękali się wszystkiego, co łatwe, skoro sami tego łatwego życia sobie nie stworzyli. Wszystko, co łatwe i słabe, jest dla Eskimosów rzeczą godną pogardy.

Nunooruk z wyspy ks. Walji grał w naszym filmie rolę szpiega. Był on artystą w każdym calu. Wycinał z kości wielorybiej naczynia, figurki i statuetki. Dawniej robił to tylko dla własnej przyjemności, ale gdy przekonał się, że te jego wyroby podobają się białym ludziom, zaczął niemi handlować. Jednak i jego życie nie jest łatwe, skoro rzeźbi tylko z kości wielorybów i morsów, które sam upolował. W swoim szczepie Nunooruk jest bogatym człowiekiem. Syn jego Leo nawet chodził do szkoły rządowej. Mówi płynnie po angielsku i — rzecz oczywista — jest z tego bardzo dumny. Starszy syn Nunooruka uchodzi wśród swoich za podróżnika. Był już nawet w Nome i chociaż jest tylko Eskimosem-myśliwym, posiada sposób bycia prawdziwego gentlemana.

Mala urodził się w Candle na Alasce. Najpierw był myśliwym, później uczęszczał do szkoły otworzonej przez władze i dzięki znajomości obcych języków, brał udział w ekspedycji Rassmussena. U nas był głównym aktorem i najlepszym strzelcem, oraz niezawodnym tłumaczem. Po skończeniu filmu przyjechał z nami do Hollywood i z pewnością zrobi karjerę. Ulubieńcem obozu był mały Upik, syn Kamesuka i Dortuk, zwanej „północną Gretą Garbo". Dortuk nie mówi ani słowa po angielsku, to też popełniliśmy błąd, zabierając ją z sobą do Hollywoodu. Tam bowiem zachorowała na nostalgję. Mieliśmy zamiar odesłać ją natychmiast do ojczyzny, lecz nie chcieliśmy brać odpowiedzialności, gdyż w Seattle Dortuk powiła dziecko. Otoczono ją opieką, jakiej żadna z kobiet eskimoskich nie zaznała. Bo przecież tamtejsze kobiety nieraz pracują już w kilka godzin po połogu. Prawdopodobnie z tego powodu jest tak wielka śmiertelność wśród dzieci Eskimosów. Dzisiaj mały braciszek Upika jest już zapewne znowu w ojczyźnie i tak samo czuje się szczęśliwy, jak Upik, ongiś niekoronowany władca i król naszego obozu.

Pod koniec naszego pobytu mieliśmy bardzo dużo czasu, czekając wreszcie nastania wiosny. Najważniejsze sceny były już nakręcone, taśma zapakowana, jednak film nie był jeszcze gotów. Brakowało nam pewnych zdjęć i krótkich scen, które miały powiązać film w całość. Okazało się, że będzie najlepiej nakręcić te sceny w atelier Hollywoodu. W tym celu musieliśmy zabrać wykonawców z nami. Dnia 4 marca 1932 r. w pobliżu „Nanuka" wylądował Jerry Jones, oraz pięciu innych pilotów, prowadzących nasze samoloty. Postanowiliśmy przyzwyczaić naszych Eskimosów do latania. Wreszcie załadowaliśmy bagaż na statek, sami zaś polecieliśmy z Eskimosami, podczas ostro dmiącego wiatru. Była to jedna z najbardziej emocjonujących podróży, jaką kiedykolwiek w życiu odbyłem. Musieliśmy lecieć nad samą ziemią, aby ominąć burzę, jaka szalała w górnych strefach. Pomimo ciężkich warunków atmosferycznych, gdy lądowaliśmy w Seward, nikt nie był chory na morską chorobę, oprócz małego Upika. Dzieci Eskimosów są jednak doskonale zahartowane, to też i Upikowi nie stało się nic złego. W pół godziny po wylądowaniu bawił się w najlepsze przed hotelem, który był dla niego czemś zupełnie nowem i ogromnie interesującem.



Mala i Dortuk.

Wszystkich ogarnęło uczucie radości. Jechaliśmy przecież do domu. Pop Arnold podczas swojej nieobecności w ojczyźnie został ojcem. Jego maleństwo miało już sześć miesięcy, a on jeszcze zupełnie go nie znał. Mógłbym przysiąc, że żaden człowiek nie oczekiwał tak niecierpliwie okrętu, jak Pop. Nazajutrz rano przybył okręt, na który wsiadłem wraz z całą moją ekspedycją. Eskimosi mieli szeroko otwarte ze zdziwienia oczy, gdy znaleźli się na olbrzymim okręcie, skoro jednak dotarliśmy do Seattle i wsiedliśmy do pociągu, ich zdziwienie przemieniło się w strach. Do podróżowania samolotem zdążyli się przyzwyczaić, na oczy jednak nie widzieli pociągu.

W dwa dni później rozmawiałem z Piotrem Freuchenem w chwili, gdy pociąg przebiegał przez dolinę Sacramento. Przed nami ciągnęła się zieleń. Mijaliśmy czyste i ładnie zabudowane osady. Za kilka godzin mieliśmy już być w domu, przy żonach, narzeczonych i rodzinach, których nie widzieliśmy przez przeszło rok.

— Sądzisz, że się nam ta podróż opłaciła, Piotrze? — zapytałem Freuchena. Zaśmiał się, mówiąc: „Mnie przynajmniej ta podróż niewątpliwie się opłaciła. I to nietylko dlatego, że treść mojej książki przeniesiona została na film, nie dlatego również, że przywiozłem z sobą film, którego tematem jest życie szlachetnego ludu. Mnie się ta podróż opłaciła ze względu na twoich ludzi. Dużo widziałem podczas mych dawnych podróży. Walczyłem i przebywałem z rozmaitymi ludźmi. Ale jeśli ktokolwiek mnie zapyta, zawsze twierdzić będę, że ekspedycja na Północ warta była trudów, bo poraz pierwszy pracowałem z prawdziwymi mężczyznami".

Angielska kronika filmowa.

Chińska gwiazda Anna May Wong podpisała kontrakt z wytwórnią Gaumont British i grać będzie tytułową rolę w przeróbce filmowej sztuki p. t. „Chu Chin Chow". Jej partnerem jest George Robey. Reżyseruje film Walter Forde.

Do Afryki południowej wyruszyła ekspedycja filmowa Gaumont British, celem nakręcenia plenerów do filmu p. t. „Cecil Rhodes". Ekspedycja dokona m. i. zdjęć filmowych na polach djamentowych w południowej Afryce i sfotografuje grobowiec Rhodesa w miejscowości Matoppes.

Po dwumiesięcznym pobycie w Hiszpanji powrócił do Londynu Al. Korda, przywożąc z sobą zbiór szkiców i malowideł, oddających koloryt starej Hiszpanji. Materjał ten posłuży za dekoratywne tło do nowego filmu Al. Kordy, komedji p. t. „Don Juan" z Douglas Fairbanks w roli tytułowej.

Pierwszy film angielski Maurice Chevaliera nosić będzie tytuł „Le Marechal" (Marszałek) i nakręcony zostanie w studjo Al. Kordy w Elstree niezwłocznie po ukończeniu kontraktu Morysia z M. G. M. — W Londynie bawią w związku z przygotowaniem scenarjusza dla filmu Chevaliera dwaj francuscy autorzy: Marcel Achard i Henri Jeanson.

Wytwórnia Al. Kordy zaangażowała do filmu p. t. „Św. Joanna" odtwórczynię roli Anny Boleyn w „Henryku VIII" p. Merle Oberon, młodziutką aktorkę angielską.

W Londynie odbyła się premjera prasowa filmu murzyńskiego p. t. „Imperator John". Fabuła filmu, w którym występują tylko murzyni, zaczerpniętą została z życia ludności murzyńskiej w Stanach Zjednoczonych. Akcja filmu rozgrywa się częściowo w Ameryce, częściowo na egzotycznej wyspie, na której w drodze coup d'etat zdobywa władzę imperatorską dawny murzyński czyściciel butów w republice dolarowej.

W „Prince Edward Theatre" odbędzie się prasowa premjera filmu produkcji Darryl Zanuck pt.„ Krwawe pieniądze" z George Bancroftem w roli głównej. W „Tivoli:: zapowiedzianą jest prasowa premjera filmu produkcji Radio Picture p. t. „Prawo do miłości" z Ann Harding w roli tytułowej.

Młodociany aktor francuski Robert Lynen gra rolę tytułową w filmie „Le Petit Roi", który wyświetla Rialto londyńskie.

Clive Brook i Richard Barthelmess zangażowani zostali do Elstree i przybywają wkrótce do Londynu.

Ze świeżo opublikowanej statystyki produkcji filmowej wynika, że w roku 1933 wyprodukowano 2.100 nowych filmów, z czego na wytwórnie europejskie przypada 1590 filmów, na Stany Zjednoczone 510 filmów. Anglja, największy rynek zbytu amerykańskich filmów, wyświetla ciągle jeszcze 70 procent amerykańskich obrazów!

Charles Laughton osiągnął — według ostatnich obliczeń — za „Henryka VIII" honorarjum 25 tys. funtów.

H. G. Wells zakończył prace nad przeróbką filmową swej ostatniej powieści fantastycznej: „Świat za 100 lat". Film nakręcony zostanie w Elstree p. t. „Dokąd idzie ludzkość?"

Powróciła do Elstree ekspedycja filmowa Zoltana Kordy, która przez 3 miesiące nakręcała w belgijskiem Kongo sceny zewnętrzne folmu osnutego na tle przygód bohatera powieści Edgar Wallace'a „Sanders of the River" Ekspedycja nakręciła sceny z wielkich polowań i batalje wojenne, w których wzięło udział tysiące krajowców.

FILM WSCHODU



Jeden z najulubieńszych aktorów tureckich Hazim Boy w swojej najnowszej roli.



Urocza gwiazda tureckiego filmu, zupełnie zresztą zeuropeizowana Terika Tefin Hanum.

BUDZI SIĘ...



Surowe oko reżysera ocenia talent aktorski młodej adeptki na japońską gwiazdę filmową.

Z różnych rodzajów filmu, jakiemi nas obdarzają wytwórnie Europy i Ameryki, niezawodnem powodzeniem cieszyły się zawsze filmy o temacie egzotycznym. Leży to już widocznie w naturze ludzi Zachodu, że tęsknią za czarem egzotyzmu, podobnie zresztą jak ludzie Wschodu zachwycają się nowoczesnością Europy, czy Ameryki. Wyprodukowano więc nieprawdopodobną ilość egzotycznych historyj, których bohaterami byli maharadżowie, szeikowie, synowie szeików, wnukowie etc., wszyscy, rzecz prosta, niezwykle bohaterscy, kochający się namiętną, choć nieszczęśliwą miłością, w nieznanej pięknej odalisce. Jako tło tych historyj budowano mniej lub więcej udatne pałace i meczety pod Berlinem, czy Paryżem, czasem nawet sprowadzano dla uzyskania wrażenia autentyczności dwóch murzynów i jednego wielbłąda z cyrku Hagenbecka. Wkońcu jednak Wschód zniecierpliwił się, dość późno zresztą, i zrozumiał, że przecież może sam wykorzystać te złotodajne motywy, mając na miejscu oryginalne tło dekoracyjne, pozostawione przez znakomitych przodków gratis i franco.

Wraz ze zrozumieniem nowoczesnych postulatów gospodarczych przebudziła się i rozpoczęła z całą energją filmować Turcja i Persja. O filmie japońskim wiemy zbyt mało, aby go należycie ocenić, pewnem jest jednakowoż, że osiągnął on już wysoki stopień rozwoju, a cyfry statystyczne wykazują, że dziś już nie Stany Zjednoczone, ale Japonja jest najpotężniejszym producentem filmowym świata. W Polsce widzieliśmy nieliczne tylko, zresztą bardzo wczesne, próby filmu japońskiego. Film turecki i perski natomiast nie dotarły do nas jeszcze w zupełności. Fama jednak, która poprzedza zwycięski pochód tych filmów na rynkach świata, obwieszcza że tak młody film turecki może się poszczycić znakomitymi sukcesami, szczególnie odnośnie do gry aktorskiej i reżyserji. Egzotyczni aktorzy, kreujący swoje role w autentycznych narodowych filmach, nie przypominają, rzecz prosta, utartego szablonu, którym posługiwali się ich europejscy, czy amerykańscy koledzy. Tworzą postacie realne z krwi i kości, wydarte żywcem z tego tak bogatego w typy środowiska, jakim jest bliski i daleki Wschód. Jedynie aktorki, jak zwykle kobiety, które pociąga moda, a więc zarazem źródło tej mody, jakiem jest Paryż, czy Hollywood, starają się ubierać i charakteryzować, aby się upodobnić do znanych nam gwiazd filmowych, Grety Garbo, czy innej Marleny.



Pełne egzotycznego czaru zdjęcie z oryginalnego filmu perskiego, przypomina-



Ziuta Buczyńska.

MŁODA TERPSYCHORA W WARSZAWIE.

W ciągu ostatnich kilku lat na terenie artystycznym stolicy wyrosło młode pokolenie tancerek, zapewniających polskiej sztuce choreograficznej świetny rozwój. Ze szkoły baletowej Opery warszawskiej wyszła wybitnie utalentowana tancerka Barbara Karczmarewicz i urocza Janina Leitzke, które wysuwają się na czoło zespołu baletowego — jako solistki rokujące wielkie nadzieje.

Klasyczną szkołę baletową reprezentuje również pełna wdzięku i lekkości Marysia Norbisówna.

Osobna grupa, to tancerki plastyczne. Jadwiga Hryniewiecka — łączy w swej sztuce ekspresję plastyczną ze świetną techniką i z zacięciem charakterystycznem. Hryniewiecka prowadzi własną szkołę i zdołała już wyszkolić grono uczenic.

Ziuta Buczyńska — odznaczona na Międzynarodowym Konkursie tańca specjalną nagrodą za polski taniec ludowy — stwarza własny rodzaj, któryby możnaby nazwać plastyczno-charakterystycznym. Buczyńska promieniuje młodzieńczym wdziękiem i zdradza w swoich kreacjach tanecznych duże zdolności aktorskie.

Paula Nireńska wyszła ze szkoły Mary Wigman. Na Międzynarodowym Konkursie tańca zajęła jedno z czołowych miejsc jako reprezentantka czystej plastyki tanecznej.

Mówiąc o młodych tancerkach warszawskich, trudno pominąć przedstawicielki akrobacji tanecznej, przedewszystkiem zaś Elę Antoszówna, uroczą Inkę Ney i wdzięczną, bardzo zdolną Bożenę Alesso.

Na wyróżnienie zasługuje, uprawiająca ekspresyjny, nastrojowy rodzaj tańca — niesamowita nieco w postaci i ruchach Tamara Karniejew. Wykonany przez nią w operetce „Miłość i złoto" poemat taneczny „Narkotyk" — podobał się bardzo.

Zwraca też na siebie uwagę młodziutka Janina Zamojska, uczenica Eugenjusza Koszutskiego. Jej temperament i ujmująca kobiecość w połączeniu z dużą muzykalnością — tworzą z tej młodej tancerki pełne uroku zjawisko.

Krótki ten przegląd młodych i najmłodszych sił tanecznych Warszawy — uprawnia poniekąd do wyrażenia pewności, że obok znakomitych primaballerin baletu klasycznego Szmolcówny i Szymańskiej z jednej strony i żywiołowych pełnych temperamentu Lody i Lizi Halam — z drugiej — rozwija się w dziedzinie choreografji polskiej jeszcze cały szereg nowych, świetnie zapowiadających się sił.

J. Mig.



Jadwiga Hryniewiecka.



Janina Leitzke, solistka baletu Opery warszawskiej.



Tamara Karniejew w tańcu „Narkotyk".



Marysia Nobisówna, artystka baletu warsz.



Bożena Alesso, tancerka akrobatyczna.



Paula Nireńska.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WPAN Z. KART., PABJANICE. 1) Tak. 2) Tak. 3) Jeden autor może nadesłać dowolną ilość scenarjuszów, lecz pod odmiennemi godłami. 4) Tego skonkretyzować nie możemy. 5) Nie.

„ALFA", JAROSŁAW. W myśl punktu 2-go Warunków Konkursu, prosimy nadesłać zamkniętą i zalakowaną kopertę z imieniem, nazwiskiem i adresem autora, a opatrzoną godłem.

„POBÓG", UŚCIECZKO. Otrzymaliśmy scenarjusz bez koperty, zawierającej imię, nazwisko i adres Pański (patrz Warunki Konkursu pkt. 2-gi).

„MYSZKA", WARSZAWA. Autor nadsyłający dwa lub więcej scenarjuszów, winien każdy scenarjusz opatrzeć innem godłem i do każdego dołączyć osobną kopertę zamkniętą i zalakowaną, oznaczoną godłem a zawierającą nazwisko i adres autora. Przyjmujemy „Podrzutek" pod godłem „Myszka" i prosimy o dosłanie drugiej koperty z innem godłem dla drugiego scenarjusza.

DOM — KRÓLESTWO PANI





Kazimiera Iłłakowiczówna, autorka obok zamieszczonej pieśni o domu, nagrodzonej na konkursie Związku Pań Domu.

Pieśń o domu.

Z biur, fabryk, warsztatów, z męczącej gonitwy,
jak na nocleg do domu śpieszące rybitwy,
wracamy
do chat i pałaców, pod dach czy sklepienie,
z jednaką tesknotą i serc upragnieniem tem samem.
I było dziś ciężko lub szło nam najłatwiej,
dorosłym czy starcom, kobietom czy dziatwie,
daleko — blisko,
lecz zawszećmy mieli w pamięci zamknięte
to jedno krzepiące i jedno to święte — nasze ognisko.
Jest wszędzie na świecie Bóg światu rozdany,
On ziemią obraca, On gna oceany wielkim przepływem,
lecz tam przy ognisku tam u nas, tam w domu
jest silniej wszechmocny, i jaśniej wiadomy,
i bardziej żywy!
Po lądach i morzach człek szukał sam siebie:
już głaz i żelazo tęsknotą swą przebił i dostał nieba,
a jeszcze śród nocy, gdy sen oczy sklei,
zapachem i światłem znajomem mu wieje
i smakiem chleba...
I lipy mu szumią piosenką lip miodną...
Więc budzi się łzami zalany i głodny lip tych i miodu
i wszystko co WAŻY i WARTE i ŁYSKA
za sadze i dymy z tamtego ogniska bez targu odda!

ZWIĄZEK PAŃ DOMU.

„Codzień zapala się w Polsce pięć miljonów ognisk domowych.

Codzień warzy się na nich pożywienie, które ma dać polskiemu narodowi żywotne siły i twórczą energję.

Ogniska te rozniecа ręka kobiety — to pożywienie ona przyprawia, ona je gotuje, ona niem zarządza.

Czyż kobieta — gospodyni domu nie jest największą potęgą, największą siłą Polski?"

Takie słowa odezwy, napisanej przez p. Marję Karczewską, przewodniczącą Rady Gospodarczego Wykształcenia Kobiet, zwołały na zjazd do Warszawy kobiety ze wszystkich stron Polski. Zjazd stał się wielką żywiołową manifestacją tego, że polska pani domu rozumie swą wielką rolę w życiu społeczeństwa, że uświadamia sobie doniosłość stojących przed nią zadań i że w zrzeszeniu się polskich gospodyń i we wspólnem ich działaniu widzi dobro swych rodzin, dobro całego kraju.



Marja Karczewska, przewodnicząca Rady Naczelnej Gospodarczego Wykształcenia Kobiet



Iza Mandukowa, przewodnicząca Zarządu Głównego Związku Pań Domu.

Od czasu pierwszego zjazdu, który uchwalił założenie Związku Pań Domu, upłynęło cztery lata. Dziś Związek jest instytucją potężną; jednoczy tysiące kobiet ze wszystkich miast Polski, współpracuje z podobnemi związkami, jednoczącemi kobiety wiejskie, utrzymuje ścisły kontakt ze zrzeszonemi gospodyniami innych krajów, wydaje własne pismo, opiera swą działalność na ścisłej współpracy z założonym przez siebie Instytutem Gospodarstwa Domowego.

Związek Pań Domu, Instytut Gospodarstwa Domowego i pismo „Pani Domu" — to trzy instytucje, pracujące nad podniesieniem poziomu życia polskiej rodziny. W chwili obecnej, gdy po wielu wstrząsach, wywołanych przewrotem dziejowym **Dom i Rodzina** odzyskują stopniowo należne im w społeczeństwie stanowisko, rola tych trzech instytucyj z każdym dniem zyskuje na znaczeniu.

Związek Pań Domu — to zrzeszenie polskich gospodyń, których kierownicze stanowisko w domu i rodzinie tak pięknie podkreśla tytuł „pani". A jest ich w Polsce pięć miljonów!

Instytut Gospodarstwa Domowego — to instytucja naukowa, która ma na celu rozpowszechnienie zasad wzorowej ekonomiki domowej. Instytut opracowuje wzorowe normy odżywiania, wydaje prace z zakresu innych czynności gospodarskich (jak pranie), opinjuje — przez nadanie t. zw. „cechy", sprzęty i pomoce gospodarskie, znajdujące się w handlu.

Pismo „Pani Domu" jest organem obu powyższych instytucyj, jest fachowem pismem gospodarskiem.

W najbliższych dniach — 11 i 12 bm. odbędzie się w Poznaniu Ogólnokrajowy Zjazd Delegatek Związku Pań Domu. Wezmą w nim udział przedstawicielki kilkudziesięciu miast i radzić będą nad najaktualniejszemi zagadnieniami chwili, jak „Podstawy odżywiania rodziny" (referat płk. dr. Kucharskiego), jak paląca „Sprawa pomocnic domowych" i wiele innych.



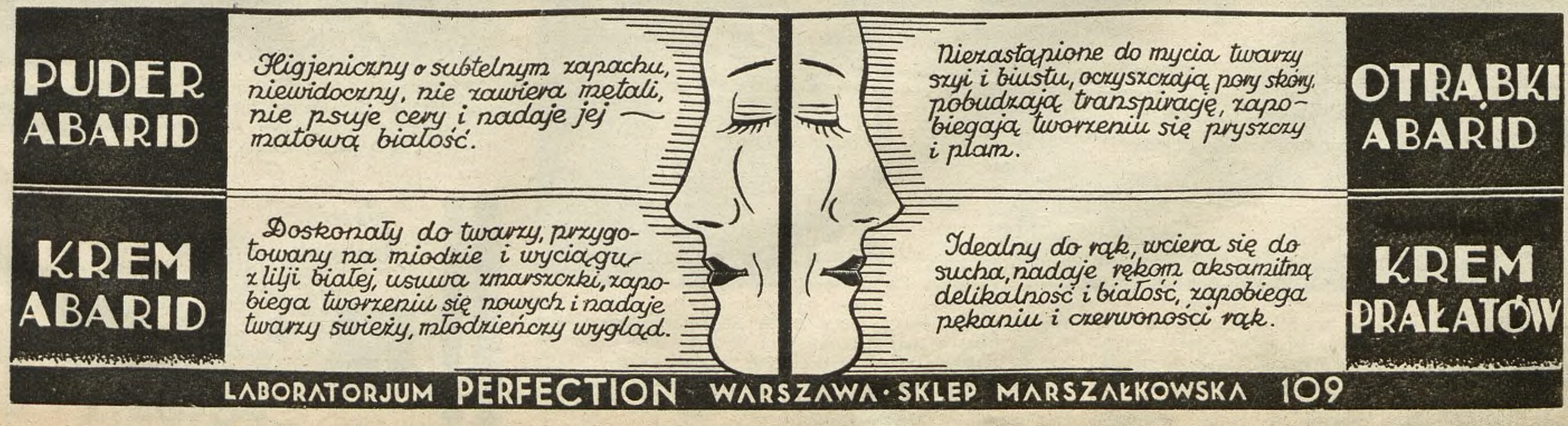
Eleonora Czarnowska, przewodnicząca Stowarzyszenia Zjednoczonych Ziemianek.

Wyniki obraz zjazdu stanowić będą — jak corocznie — dyrektywę dla setek tysięcy polskich gospodyń. Zjazd skupia na siebie uwagę wszystkich, którym drogą jest idea postawienia życia rodzinnego na właściwym piedestale.

PIONIERZY.



Naukowa organizacja pracy, ujęta jako 12 zasad wydajności, w znanej na całym świecie książce pioniera tego ruchu Emersona, stosowana jest we wszystkich działach pracy ludzkiej, a więc i w gospodarstwie domowem. Twórcą Polskiego Instytutu Naukowego organizacji kierownictwa był zmarły niedawno prof. Karol Adamiecki. Na zdjęciu widzimy go (drugi od prawej), witającego na lotnisku p. Emersona, który w swoim czasie w Warszawie bawił.





Dostojna Protektorka Związku Pań Domu.

Pani Prezydentowa Mościcka z wielką życzliwością odnosi się do poczynań Związku Pan Domu, czego dowodem jest, że osobiście dokonała otwarcia „Pokazu Aprowizacji", urządzonego przez Warszawski Oddział Związku. — Przed kilku dniami p. Prezydentowa powróciła do Warszawy z Zakopanego, gdzie bawiła na wywczasach. Na zdjęciu widzimy p. Prezydenta Rzpltej jadącego saniami w towarzystwie Swej Małżonki w czasie pobytu pod Tatrami.

Fot. W. Pikiel, Warszawa.

KOBIETY POD RZĄDAMI HITLERA.



Hitler, objąwszy władzę w Niemczech, zabrał się do uporządkowania wszystkich dziedzin życia wedle swoich zasad programowych. Nie pominął oczywiście kobiety. Całą siłą przeciwstawił się rozluźnieniu rodziny i obyczajów. W nowych organizacjach hitlerowskich wychowują się Niemki na przyszłe żony i matki w surowej atmosferze dyscypliny i rasizmu. Zasadą jest, że każda dziewczyna musi umieć prowadzić samodzielnie dom, gotować i gospodarować ekonomicznie i oszczędnie. Na zdjęciu dziewczęta niemieckie, należące do formacyj hitlerowskich.

PRAKTYCZNY WYNALAZEK.



Zagranicą pokazały się nowe odkurzacze, które tem różnią się od poprzednich, że ich ssący aparat pracuje bez prądu elektrycznego. Dawną instalację zastępuje miech, poruszany ręką.

EGZOTYCZNI GOŚCIE W SEJMIE.



Do Warszawy przybyła piechotą delegacja chłopów z Polesia, aby przedstawić Sejmowi swoje bolączki. Delegaci ci, ubrani w ogromne kożuchy i łapcie, oraz czapy baranie, budzili sensację swoim wyglądem.

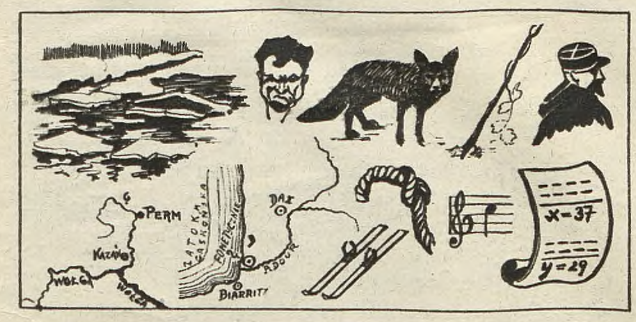
SZARADA.

(Uł. M. Motylewski, czł. Warsz. Kl. Szar.)

Gdy **pierwszy** kwitnie, nadzieje się budzą
w licznej **dwa-czwartej** pozbawionych pracy —
i tak z dnia na dzień ludzie ci się łudzą,
Że minie okres męki i rozpaczy.
Że przy **dwa-trzeciej-czwartej** znów staną
z myślą o dzieciach, iż głodne nie zasną —
że za swą pracę wypłatę dostaną
i że los da im przyszłość lepszą, jasną.
Lecz cóż, gdy kryzys objął kręgiem zwartym
handel i przemysł, czy inne warsztaty —
a kupiec myśląc o **trzywstecz-dwa-czwartym,**
musi sprzedawać przeważnie na raty.
I drżeć, czy spłacą, choć zna dobrze ludzi
którym zaufał; lecz czyż można wierzyć?
Jeśli dziś każdy nadzieją się łudzi,
że **całe** dalej nie będzie się szerzyć.

REBUS.

(Uł. M. Wysocka, czł. Kl. warsz.).



Za rozwiązanie powyższych dwu zadań, Redakcja „Światowida“ przeznacza

t r z y n a g r o d y.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida“.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 17 marca 1934 r. wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 7.

SZARADA: Szarada karnawału.
REBUS: Szał karnawałowy.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 7 nadesłali:

Wł. Jankowski, Żywiec; St. Beśka, Stołpce; Kowal Juljan, Stołpce; Jan Badura, Szopienice; Mikołaj Kluf, Piotrków Tryb.; Irena Senze, Żychlin; Vira Berbecka, Warszawa; Z. Kruczkowski, Zbaraż; W. Kamińska, Grudziądz; Justyna Krasnodębska, Seroczyn; Bol. Jurczyk, Krynica; Kaz. Brok, Dąbrowa Górn.; Anita Goldmanówna, Warszawa; Jadwiga Tybiewska, Poznań; Z. Lasocka, Warszawa; Kaz. Kornaszewski, Inowrocław; St. Kornaszewski, Inowrocław; por. Br. Bubnicki, Kraków; Stan. Musiał, Długoszyn; inż. J. Modrzejewski, Lublin; Eug. Petrynowski, Kutno; Cz. Kozłowski, Warszawa; Tadeusz Fijaś, Warszawa; H. Cieślikówna, Kraków; **Irena Bodankówna, Radomsko (zł. 20.—)**; M. Jagusiński, Kraków; Kaz. Figurowa, Kraków; W. Weisło, Kraków; Józef Klima, Kraków; J. Świerczyńska, Lwów; Bogdan Rubczak, Warszawa; Marjan Musiałowicz, Poznań; Eugenjusz Pietrzak, Łódź; J. Obtułowicz, Żywiec; Z. Neumanówna, Kołomyja; M. Abramson, Łódź; Natalja Pawełczyk, Łódź; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Włodz. Hoffmann, Warszawa; Wacław Rećko, Ostrów Maz.; Haneczka Kolbówna, Tarnowiec; Józef Stefan Suliński, Kowel; Zofja Hubert, Poznań; Eug. Kroczek, Praga; Helena Ławrentjewowa, Poznań; Marja Baworowska, Klimiec; M. Sosnkowska, Tarnopol; Jerzy Bielesz, Kraków; Wacław Kasperski, Miłosław; Edward Szwarc, Częstochowa; Bolesław Burkat, Oświęcim; Irena Obuszkiewiczówna, Sambor; Zb. Słotwiński, Częstochowa; L. Glaszmidt, Warszawa; M. Fijałkowski, Przemyśl; A. Pankiewicz, Tarnów; **Józef Krzyżaniak, Poznań (zł. 10.—)**; Stefan Żelazowski, Busko; Janusz Dawid, Toruń; Karol Korsak, Chełmno; E. Piottuch, Wilno; „Maryśka z Pohulanki“; Marja Sipowiczówna, w Łunińcu; Janina Michalewicz, Lwów; Edward Podobiński, Lwów; Roman Dergiman, Wilno; Wanlentyna Zalewska, Ozorków; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; Józef Maziarz, Ozorków; Jan N. Maziarz, Ozorków; Franc. Pietryk, Jaworzno; Marja Vossowa, Kutno; ks. Leopold Klementowski, Tarnopol; Stan. Maciejczyk, Mysłowice; M. Marcinkowski, Mirachowo; Marja Grzenianka, Sianowo; Janusz Roman, Warszawa; Stan. Nowicki, Poznań; Halina Mikinowa, Poznań; Edm. Miłowski, Poznań; „Grenicheux“, Warszawa; M. Fr. Jarocka, Warszawa; Stan. Mikowska, Warszawa; Zbigniew Kanas, Bieżanów; Z. Pieracki, Wilno; M. Szewiakowa, Wilno; Wiktor Kwinta, Kraków; Lola Dąbkówna, Kraków; Wład. Wójcik, Bronowice Wielkie; J. Walczyna, Kraków; J. Gilewicz, Warszawa; inż. Z. Słowikowski, Warszawa; Zdz. Pałuszyński, Pabjanice; Bogusia Mendralówna, Rzeszów; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; Karol Suchanek, Węgierska Górka; Marja Rundowa, Bielsko; Ludwik Kulawski, Żywiec; Józef Czołba, Poznań; Anna Loeglerowa, Lwów; St. Hołdawańska, Pruszków; Jan Gernand, Kraków; Marjan Gering, Komarów; W. Nowacka, Poznań; Aleks. Beśkowa, Stołpce; Ludwik Pogoda, Jaworzno; E. Rozenberżanka, Brzeziny; Felicja Głownicka, Wilno; Miecz Danowski, Wilno; Zb. Cienciała, Lwów; Piotr Paul, Szamotuły; Zdz. Wójcik, Kraków; M. Cesarczykówna, Kraków; Aleks. Pękala, Falenica; „Marta“, Lwów; „Wilnianin“, Dubno; Ludwik Iwanowski, Kutno; Wład. Jędrys, Kraków; Anna Bauerowa, Kraków; S. Mieczysław, Sambor; „Manfred“, Warszawa; **Dziuchy Bałdys, Sambor** (prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1—30 kwietnia 1934); „Wiesław; J. Bielenia, Warszawa; M. Pędzimąż, Zakopane; Zb. Block, Poznań; H. Mikinowa, Poznań; St. Kanwiszer, Dąbrowa Górn.; Leon Dawidowicz, Jaworzno; Ludwik Pulchart, Żywiec; Jerzy Sass, Krzeszowice; Adam Galer, Kraków; Lidja Sasówna, Kraków; Bol. Kurowski, Warszawa; L. Pacholczyk, Sieradz; Janina Ochońska, Zakopane; Janina Klimaszewska, Stary Sącz; T. Sobecki, Poznań; Roma Schützowa, Biała Wielka; Jadwiga Kwiekowa, Żychlin; H. Kruczałowa, Puławy; Felicja Kieżun, Toruń; Elż. Rakowska, Poznań; Michał Markstein, Kamionka Strun.; Emil Schwebel, Zaleszczyki; Bol. Foltman, Warszawa; Henryk Malec, Częstochowa; Kaz. Malec, Częstochowa; Aleks. Cwynar, Kraków; J. Kudyk, Kraków; Wojciech Ciepiela, Kraków; Jurek Zapiór, Kraków; Stan. Wieliczko, Sosnowiec; Roman Gumiński, Zalesie; P. Kaniak, Lwów; M. Zubrzycki, Przemyśl; J. Wyganowski, Wejherowo; Wiktor Łazowski, Warszawa; Feliks Wład. Kowalski, Warszawa; Marja Strubel, Warszawa; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; M. Ligięzianka, Kraków; Mr. Marjan Kurica, Lwów; Franc. Izdebski, Zagórz; Konstancja Maciejowska, Dąbrówka Mała; Stan. Gomułkówna, Myślenice; Czesław Raczyński, Włodawa; Zofja Makarewiczówna, Włodawa; Jerzy Stępień, Łódź; W. Rytko, Poznań; p. Wład. Łokietek, Mińsk Mazow.; Anna Augustyniakowa, Łódź; „Ha-Ha“, Oświęcim.

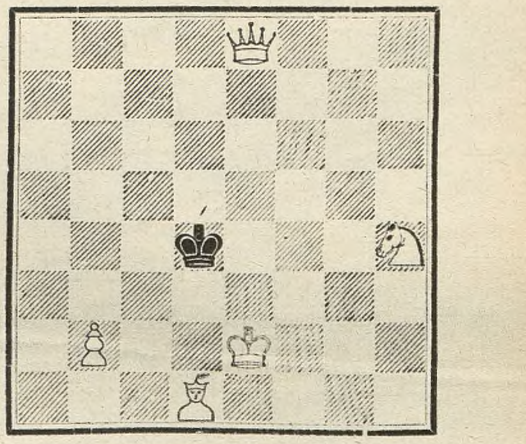
Nagrody otrzymali pp. Irena Bodankówna, Radomsko (zł. 20.—); Józef Krzyżaniak, Poznań (zł. 10.—) i Dziuchy Bałdys, Sambor (prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1—30 kwietnia 1934 r.).

Nagrody pieniężne redakcja „Światowida“ prześle niebawem.

DZIAŁ SZACHOWY

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

H. Eisele („Schweizerische Schachztg.“ 1933).



Czarne: Kd4 (1)

Białe: Ke2, He8, Gd1, Sh4, pion: b2 (5)

3chodówka 5 + 1 = 6.

Mat w 3 posunięciach

Rozwiązanie 3-chodówki H. Eiselego:

1. G—a4; I. 1.., K—c5 (—c4) 2. H—c6+ i 3×; **II.** 1... K—d5 2. S—f5 i 3×.

PARTJA

Białe: **W. Menszik** Czarne: **Dr. A. Alechin**

grana w międzynarodowym turnieju świątecznym w Hastings w r. 1933

Pionem hetmana (Gambit Benoniego).

1. d4 c5	15. S—f1 S—h5
2. S—f3 c×d4	16. g3 S—f6
3. S×d4 d5	17. f4 G—g4
4. c4 e5	18. H—d2 a5 **(4)**
5. S—c2 **(1)** d4	19. G—a3 G×a3
6. e3 S—c6	20. S×a3 S—b4
7. e×d4 e×d4	21. S—b5 H—d7
8. G—d3 S—f6	22. a3 S×d3
9. 0—0 G—e7	23. H×d3 G—f5
10. Wf—e1 G—g4 **(2)**	24. H—d2 b6
11. f3 G—e6	25. W—e5 G—e4
12. b3 0—0	26. H—e1 G—a8 **(5)**
13. G—b2 H—c7	27. W—a2 H—b7 **Białe poddały się.**
14. Sb—d2 **(3)** Wa—d8	

UWAGI:

(1) Gdyby 5. S—f3 to także d4 i piona e5 białe nie mogą bić wobec H—a5+.

(2) Aby sprowokować osłabienie skrzydła królewskiego białych.

(3) 14. S×d4? G—c5!

(4) Czarnym udało się osłabić przeciwnika na polach białych (typowa taktyka Alechina), co po wymianie S za G białego przybiera jeszcze jaskrawsze formy.

(5) Alechinowi udało się świetną taktyką do tego stopnia osłabić przeciwnika na białych polach, że obrona mała możliwą jest tylko przez ofiarę figury.

HUMOR.

Westchnienie.



— Kochany, będzie to dla mnie najdroższem wspomnieniem!
— O, dla mnie także...

„Zmienił się“.



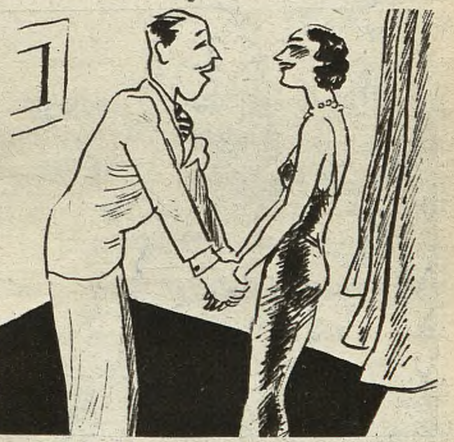
Servus Kohn, ale ty się zmieniłeś!
— Ja się nie nazywam Kohn.
— Więc nazwisko sobie też zmieniłeś?

Sprytny rekrut.



— Gdzież ty idziesz z tem wszystkiem?
— U mojej mamy jest dzisiaj generalne sprzątanie, to mi przy sposobności wyczyszczą rynsztunek...

Ślub w Hollywood.



— Kochanie, gdzie ty zwykle zamawiasz zawiadomienia o ślubie...?

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 11 *upoważniający do*



ALCHEMJA
„ŚWIATOWI

Zdjęcie nasze prze
wia trawienie wa
używanych do d
„Światowida". Jest
bieg bardzo trudny
magający dużej pra
i stanowiący ostatn
raz grafiki mechani